ŻYDOWSKA DELEGACJA POKOJOWA W PARYŻU

DR. LEON REICH

ŻYDOWSKA DELEGACJA POKOJOWA W PARYŻU

(SYLWETKI DZIAŁACZY ŻYDOWSKICH)

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI „BETH-IZRAEL"
1922.

Odbito w Drukarni Nowoczesnej, ul. Pańska 21.

Jak rok 1848/49, poczęty rewolucją lutową w Paryżu, zwykło się w historji oznaczać mianem okresu „wiosny narodów“, tak okres, poczęty w 70 lat później, z końcem roku 1918/19, konferencją pokojową w Paryżu, słusznie nazwać można okresem „wiosny gnębionych narodowości“.

Oto narodowości, jęczące dotychczas pod jarzmem państw zaborczych, czy narodów rządzących, powołane zostały, w myśl Wilsonowskiej zasady samostanowienia, na podstawie złożonego niejako w czasie wojny egzaminu państwowej dojrzałości, do samodzielnego bytu politycznego, bądź też wyposażone zostały w ochronę praw „mniejszości etnicznych“, będącą puklerzem autonomji narodowej.

W akcji około zdobycia praw narodowościowych lwia część pracy, ale też i lwi udział zasługi, przypada reprezentantom narodowości żydowskiej. Wysłannicy Kongresu Żydowsko-Amerykańskiego (Jewich American Congress), Rad Narodowych Żydowskich wschodniej Europy, gmin żydowskich Europy zachodniej, jak wreszcie Egzekutywy wszechświatowego stronnictwa syonistycznego, zorganizowani w „Comité des Délégations Juives auprès de la Conférence de la Paix“ w Paryżu, zarówno memorjałem przedłożonym konferencji, jak i rozlicznemi interwencjami u miarodajnych czynników konferencji, zdołali kwestję mniejszości narodowych uczynić jednym z walnych punktów obrad konferencji, a w szczególności ośrodkiem problemów, dotyczących państw nowo-powstałych, lub powiększonych Wschodniej Europy.

Władcy Kongresu pokojowego, jak: Wilson, Lloyd George, Clemenceau i Sonnino, niejednokrotnie przyjmowali do wiadomości uwagi i postanowienia „Komitetu Delegacyj Żydowskich“, a zastępcy ich w przeróżnych komisjach, jak w szczególności

Mr. Polk, czy Cambon, Della-Toretto czy Bourgeois, Clark, czy Le Rond, niemniej przedstawiciele państw bezpośrednio interesowanych, jak: Venizelos i Benesz, Bratiano i Paderewski, liczyli się z enuncjacjami, wychodzącemi z gmachu przy Rue St. Lazare 97, a później z pałacu przy pl. Édouard VII., będącego kuźnią dyplomacji Żydostwa światowego.

W rzeczywistości dyplomacja ta skutkami swojej działalności obejmowała nietylko Żydów, lecz także ludność wszelkich innych narodowości, gdziekolwiek taż znajduje się w mniejszości. W szczególności postanowieniami, dotyczącemi ochrony praw językowych i szkolnych, niemniej klauzulą, dającą możność wytaczania krzywdy przed Ligą Narodów (z której to możności korzystali dotychczas dwukrotnie Polacy: raz wnosząc skargę przeciwko rządowi austrjackiemu z powodu wydalania obywateli polskich — uchodźców żydowskich — z Wiednia, następnie przeciwko rządowi kowieńskiemu za gnębienie ludności polskiej), dyplomacja „Komitetu Delegacyj Żydowskich" opromieniła egzystencję narodową wszelkich społeczności, zapewniając im swobodę rozwoju kulturalnego. Istnienie przeto i praca tegoż Komitetu stanowi jakby kamień węgielny w dziejach rozwoju narodów i narodowości. I dlatego też misja „Komitetu" jest w najściślejszem słowa znaczeniu historyczną.

Z tych też powodów wydawało mi się wskazanem uwiecznić — bodaj za pomocą na prędce uchwyconych sylwetek — rysy charakteru tych mężów, którzy owego dzieła historji głównymi byli twórcami i na czynnościach „Komitetu" najwybitniejsze wyryli piętno.

Sam, jako członek prezydjum tegoż „Komitetu", mając szczęście przez szereg miesięcy stykać się z tymi ludźmi u warsztatu wspólnej pracy, przyglądałem się im — być może — przez pryzmat zbytniej bezpośredniości i dlatego też charaktesytyki ich mogą być w pewnej mierze rezultatem zabarwionych zbytnim subjektywizmem wrażeń i sądów.

Ale niemniej czytelnicy, którzy dziś, poprzez odległość czasu i przestrzeni, mają możność przypatrywania się tej wytwornej plejadzie reprezentantów żydowskich, odczują niezawodnie tę siłę wielkości i wiary, jaka bije z ich poczynań i wysileń i tę moc idealizmu i zdolności do czynów, kwalifikującą każdego z nich jako indywidualność sui generis. A że czyny wielkich mężów

są nietylko wykładnikiem ich zapatrywań teoretycznych, lecz zarazem splotu ich przeżyć, trosk i kłopotów codziennych, które wraz z wzniosłymi porywami ducha kształtują życie i twórczość, a w dalszym rzędzie życia ich i twórczości płody, czytelnicy nie bez zainteresowania wnikać będą w tę „myśli przędzę i uczuć kwiaty“, skoncentrowane w dziele polityki żydowskiej, uznanem i przypieczętowanem oficjalnie na dniu 28. czerwca 1919 w Wersalu pod nazwą: „Traktatu o mniejszościach narodowych“.

Lwów, w marcu 1922.

Leon Reich.

PORZĄDEK RZECZY:

LOUIS BRANDEIS

Któż jest ten były prezes honorowy organizacji sjonistycznej, dla którego przekonania, czy — pokonania wyjechał do Ameryki wraz z całą świtą „wiernych“ prezes czynny organizacji? Któż jest ten mąż wybitny, dla którego, poraz pierwszy w dziejach stronnictwa światowego, stworzono specjalną godność, a którego nazwiskiem — od czasu zwłaszcza konferencji czerwcowej w Londynie — rozbrzmiewają szpalty wszystkich pism partyjnych?!

Czyż nie od czasów tuż przedwojennych dopiero należy on do naszego obozu?!

Tak — od lat niespełna dziesięciu. Niemniej, a może właśnie dlatego, zdołał tak żywe wzbudzić zainteresowanie dla swojej osoby. Bo wstąpił w szranki sjonizmu, wyposażony już w sugerujący splendor znaczącego nazwiska, w autorytet stanowiska najwyższego sędziego Stanów Zjednoczonych.

Aż do owej chwili Brandeis stał poza nawiasem ruchu sjońskiego, ba nawet poza linją ewolucyjną narodowego Żydostwa. Żył pracą zawodową, a działał dla „wydziedziczonych“, zapominając o parjasach, przynależnością wszak tak bardzo mu bliskich, a z pośród wydziedziczonych najbardziej nieszczęśliwych.

Jako syn zamożnego kupca otworzył po ukończeniu studjów kancelarję adwokacką w Bostonie i odrazu wybił się na czoło palestry znakomitemi obronami, w których logika żelazna szła w zawody z ciepłem słowa i darem krasomówczym.

Gorąca dusza jego szukała atoli ujścia i możności wyżycia się na tle walk socjalnych, gdzie siły i zdolności swe oddał na usługi tendencjom poprawy losu mas robotniczych — ofiar możnych syndykatów i potężnych trustów. Jego poczucie moralne burzyło się przeciw krzywdom, wyrządzanym biednym skutkiem samej już wadliwości ustaw. Krew wielkich przodków-proroków i apostołów idei prawdy i obrony słabszych przed silnymi ozwała

się w jego żyłach. I oto całą swą wiedzę jurydyczną począł poświęcać celowi rektyfikacji i łagodzenia ustaw.

Strejki pracowników kolejowych wielkich spółek amerykańskich zajmowały opinję publiczną i podniecały umysły. Brandeis, przeniósłszy się do Wasyngtonu, zasłynął odrazu jako najświetniejszy organizator strejków. Gwałtowną kampanją prasową przypuszczał szturm do twierdzy solidarności „królów kolejowych", którzy w końcu poczynili koncesje i zgodzili się na ustawowe regulowanie kwestji w myśl żądań strejkujących.

Brandeis stał się naraz bożyszczem ludu.

Aż oto obrona warstw roboczych prowadzi go w zaułki getta żydowskiego w Nowym Yorku.

Wybucha strejk wśród robotników żydowskich przemysłu konfekcyjnego. Pracodawcy okazują się nieustępliwi, strejkujący zacietrzewieni, a Brandeis otrzymuje misję pośredniczenia. I tu nagle poraz pierwszy rozwarła się przed nim w całej swej grozie tragedja nędzy żydowskiej. Tragedji tej spojrzał prosto w oczy i dokonał w sobie metamorfozy. Jak Herzl na widok krzywdy żydowskiej ex re walki dreyfusowskiej wspiął się odrazu na szczyty renesansu narodowego, tak Brandeis zetknąwszy się z masą żydowską i jej bolem, odnalazł odrazu swe miejsce w szeregach narodowych.

Wśród legjonu zainteresowanych strejkiem pracowników uwijał się młody dziennikarz żydowski Jakob de Haase, który, spotkawszy się z popularnym i wybitnym działaczem, ośmielił się go zapytać, czemu też on, roztaczający skrzydła opiekuńcze nad dolą maluczkich, przeocza łzy i rozpacz własnych braci i nie krzepi gnębionych na duchu, głosząc hasła wiary sjońskiej.

Zrozumiał Brandeis owo zapytanie i całą osobą swoją dał odpowiedź. Przylgnął do swoich. Serce jego bić poczęło na myśl o odrodzeniu Izraela a sam stał się niebawem świecznikiem Żydostwa i ruchu sjońskiego.

Pozatem w życiu politycznem wysunął się jako szef partji demokratycznej i gdyby nie pochodzenie żydowskie, byłby mógł sięgać po buławę pierwszego obywatela państwa: godność prezydenta Republiki amerykańskiej. Sam jednak zadowolił się rolą protektora Wilsona, dla którego kandydatury — wraz z złotoustym swym towarzyszem partyjnym, rabinem Wisem — rzucił na szalę całą potęgę swej indywidualności. Wilson nie pozostał mu dłuż-

nym wdzięczności. Ledwie opróżniło się miejsce w Sądzie Najwyższym, a oficjalnie zgłoszoną została kandydatura Brandeisa. W tolerancyjnej i liberalnej Ameryce zawyła burza. Przypomniano sobie, że Brandeis jest Żydem i krucjatę urządzono przeciw niemu i jego poplecznikom. Ale burza postawą i siłą olbrzyma nie wstrząsnęła. Kandydat nasz wyszedł z wyborów jako — „Justice Brandeis".

Stosunek atoli, jaki związał polityka żydowskiego z prezydentem Ameryki, umiał pierwszy świetnie wyzyskać dla celów narodowych.

Wszystkie zdobycze dyplomacji sjonistycznej, począwszy od pierwszej enuncjacji Wilsona wobec delegacji i kongresu żydowsko-amerykańskiego, zapewniającej Żydom siedzibę narodową w Palestynie, aż po forsowanie ze strony Ameryki uchwały w San-Remo, to w znacznej mierze owoc wpływów i zabiegów Brandeisa.

Wszelako największą gorliwość okazał i uznanie zaskarbił sobie pracą organizacyjno-finansową dla Palestyny. Wojna światowa groziła zwaleniem w gruzy całego Jiszubu. Organizacja amerykańska, kierowana wprawną ręką swego prezesa, zebraniem miljonowych funduszów ocaliła Jiszub od zagłady.

W „Comité des Delegations juives" Brandeis bezpośrednio nie uczestniczył i się nie angażował. Miało to swoje dobre uzasadnienie. Przedewszystkiem w systemie podziału pracy, który po drugiej stronie Oceanu cieszy się najlepszą tradycją i który kongresowi Żydów amerykańskich kazał wysyłać do Europy dwie odrębne delegacje: jedną z Mackem na czele pod hasłem praw mniejszości narodowych, a drugą pod wodzą prof. Frankfurtera dla załatwiania problemu palestyńskiego. Pozatem prowodyr amerykański, udzielając się w metropoli świata dążeniom „mniejszości narodowych", byłby siłą rzeczy musiał ścierać się ze swoim przeciwnikiem politycznym z pod znaku „liberałów" i współzawodnikiem w pracy społecznej, Louisem Marshallem, co byłoby może niekorzystnie odbiło się na rzeczy samej. I dlatego pozostał „at home", odgrywając wszelako rolę może niemniej ważną, określoną w języku niemieckim słowem: „Drahtzieher".

Toteż ilekroć niebezpieczeństwo w jakiejkolwiek sprawie, podjętej przez Komitet, dochodziło do szczytu naprężenia, — jak raz po wyjeździe już Wilsona ze stolicy nadsekwańskiej,

gdy kwestja praw żydowskich w Rumunji, dzięki oporowi zastępców tego państwa, ugrzęzła na mieliźnie — nasz przyjaciel w Ameryce, zaalarmowany telegraficznie, natychmiast interwenjował u miarodajnych czynników i rzecz sporną wydobywał z martwoty sytuacji krytycznej.

Z końcem sierpnia 1919 r., przyjechawszy do Paryża, na uroczystem przyjęciu, zgotowanem mu przez Komitet, zapoznał się i z zagadnieniami aktualnemi i z osobistościami kierującemi, wypowiadając przytem swoje uwagi i opinje. Pozatem zaś myśl główną miał skierowaną w kierunku innym: ku Ojczyźnie żydowskiej, dokąd właśnie za 48 godzin miał odpłynąć z Marsylji. Cel podróży wynikał z głęboko i podwójnie odczutej potrzeby: Żyda-sjonisty i odpowiedzialnego przywódcy ruchu. Chciał, zanim obejmie formalnie ster pod tą czy ową nazwą, poznać na własne oczy kraj i stosunki.

Wedle wiadomości, nadeszłych z Palestyny, atmosfera tam przesyconą była podówczas elektrycznością. W powietrzu wisiały już chmury, które — acz w parę miesięcy później — zerwały się niestety w tak strasznej formie. I położenie dyplomatyczne zdawało się być mocno niepewne. Członkowie Komitetu Wykonawczego, znajdujący się w Paryżu, przywiązywali wiele nadziei do jazdy swego towarzysza z drugiej półkuli.

Brandeis na jedyne „diner“, które spożyć miał w dniu swego pobytu w rezydencji francuskiej, otrzymał aż trzy zaproszenia, a to od reprezentantów trzech „wielkich mocarstw sprzymierzonych i skojarzonych“. Zdecydował się na spędzenie pory obiadowej u lorda Balfoura, któremu w imieniu stronnictwa przedłożył prośbę i od którego też uzyskał przyrzeczenie nieprzedsiębrania w administracji Palestyny żadnych zmian osobowych, ani rzeczowych przed jego powrotem i sprawozdaniem.

Z niecierpliwością i utęsknieniem powrotu jego wyczekiwali sjoniści. W Egipcie i Palestynie — na skutek telegramu rządu angielskiego — witany był oficjalnie przez dostojników angielskich cywilnych i wojskowych. Mniej oficjalnie, ale tem goręcej i serdeczniej witali go kierownicy sjonizmu światowego w Paryżu.

W otoczeniu jego znajdowało się grono osób — towarzyszy podróży wraz z Haasem, któremu Brandeis w przemowie wyraził hołd jako swemu — mistrzowi idei. Pozatem zdawał sprawę ze swoich spostrzeżeń i doświadczeń. Mówił krótko, jasno i dobitnie.

Wykazywał braki i określał środki zaradcze. Znać było z treści wywodów pochopność sądów i pospieszność badań. Nic dziwnego. Podróż odbyła się zbytnio po amerykańsku, każda „tura“ obliczoną była na minuty. Ale poznać też było mądrość życiową, bystrość obserwacji i trafność rozumowania. A przy końcu wszyscy czuli, niejeden pomyślał, a jeden z uczestników głośno to wypowiedział, że Brandeis jest — „der kommende Mann“.

W niespełna rok później przybył na konferencję doroczną do Londynu. Niby dyktator, którego wola dla 40. członków delegacji amerykańskiej, podnoszących się z krzesła za każdorazowem wejściem jego na ich zebrania, — jak przystoi na obywateli „iście demokratycznego“ państwa, — była rozkazem, dyrektywą dla Egzekutywy, a drogowskazem dla delegatów innych.

Ale tutaj pierwszy zaznaczył się zgrzyt między nim i jego grupą z jednej, a resztą uczestników ze strony drugiej. Był to rozdźwięk między Żydostwem amerykańskiem, a sjonizmem wschodnio-europejskim. Okazało się, że „Amerykanie“ za mało zdołali wniknąć w psychikę Żyda Wschodu, że ten ostatni znowu nie umie całkowicie dostosowywać się do umysłowości amerykańskiej, choćby tejże reprezentantem miał być taki dobry syn narodu żydowskiego, jak Louis Brandeis. Weizmann zaś czynił wrażenie wahadła, krążącego między dwoma biegunami, niezdecydowanego, gdzie ma ostatecznie stanąć.

Ta przepaść myślowa i duchowa między dwiema grupami oraz niezdecydowanie naczelnego wodza, przyczyniły się najbardziej do nieudania się konferencji.

Niemniej Brandeis wyjechał jak mocarz wszechwładny, ukoronowany na „honorowego prezesa“, a otoczony czcią, wpływem i autorytetem.

Czcili go nad Tamizą nietylko sjoniści. Bankiet na cześć jego urządziło sądownictwo angielskie pod protektoratem swego naczelnika, lorda Readinga, późniejszego gubernatora Indyj.

Wiedza fachowa i nieskazitelność charakteru jednała mu powszechny szacunek, a smukła i dumna postać o podłużnej, gładko golonej twarzy, o krótko strzyżonych, siwizną przyprószonych włosach, o wysoko posuniętem czole, ostrych rysach lic i równych, śnieżno białych zębach, zdradzających zarówno dobrze młodzieńczą siłę przeszło 60-letniego starca, jak i wysoki

rozwój — sztuki dentystycznej w Ameryce: cały ten wygląd zyskuje mu odrazu ogólne sympatje.

I któżby przypuszczał, że ta ręka, którą tyle łez osuszał w życiu, okazywać będzie pazury i że te zęby będą jako kły, których ostrze przekłuwać będzie do cna całą organizację sjonistyczną i jej najwyższych przywódców?!

Ale któż nie widzi, że przedstawiciel Temidy, walczący z całem wytężeniem swej indywidualności o sprawiedliwość dla własnego narodu, i w obecnym konflikcie ideowo-narodowym walczy li o sprawiedliwość swych zasad, w przeświadczeniu o jedynej słuszności swych przekonań?! Któż nie wierzy, że ten luminarz społeczeństwu swemu przysporzy jeszcze tyle splendoru w dniach chwały i szczęścia rozkwitającej Ojczyzny, ile wlał pociechy w duszę narodu w czasach trwogi i spustoszenia kraju?

Któż wątpi, że „justice Brandeis“ jest w pierwszym rzędzie — „Jew Brandeis“?!

Dr. MARKUS BRAUDE

Idealista, zdążający do celu przy pomocy środków realnych. Lub na odwrót: realista, uprawiający politykę tylko w ramach idei.

Ażali żar idealizmu przeważa, czy zdolność chłodnego rozumowania?

W tajnej gąszczy skomplikowanej nieco duszy trudno zorjentować się nieomylnie, ale dla wyrobienia sobie opinii o charakterze człowieka — szczegół to obojętny. Niezaprzeczonem jeno pozostaje, że Markus Braude, z natury rozsądny i rozważny, niemniej w projektach czy przedsięwzięciach swoich nie pójdzie nigdy za głosem rozumu, zanim wpierw nie uzyska aprobaty — serca. Natomiast extérieur jego wysuwa stronę idealizmu na plan pierwszy.

Postać dumna, o szlachetnym wyglądzie twarzy, regularnych rysach, siwych, głęboko osadzonych oczach i jasno-blond bródce, budzi lekkie wspomnienie owych znanych nam z legend i obrazów reformatorów, co o głodzie i chłodzie, wśród wyrzeczeń i samozaparcia się stąpali po padole łez, zwiastując lepsze jutro. Tylko, że solidna elegancja, a jeszcze bardziej — solidnie zaokrąglona — tusza stoją z owem samozaparciem się w małej — dysharmonii i przypominać się zdają kapłanów, czy „predigerów“ współczesnych, którzy raczej z „soli i z roli“, niźli z tego „co ich boli“, wyrośli.

W rzeczywistości jednak z wszystkich Braudego usiłowań i poczynań widoczne jest bezprzecznie, iż żaden wzgląd materjalny, jeno właśnie to, „co go boli“, jest dlań busolą myśli i motorem działania

Ból osobisty zidentyfikował od lat najwcześniejszych z bólem narodu.

Ukończywszy w Berlinie studja filozoficzno-rabinackie, wrócił do kraju i tu jako syn poważnego rabina ortodoksyjnego,

potomek starożydowskiej wykwintnej rodziny, skoligacony z arystokracją i plutokracją żydowską, byłby mógł śladem licznych rówieśników zapisać się w szeregi „złotej młodzieży“ i dążyć do „złotej karjery“. Tymczasem wstąpił w szeregi pierwszych pjonierów idei sjonistycznej i niebawem wypłynął w kraju jako jeden z pierwszych przywódców ruchu.

Hardy i nieugięty w postanowieniach, ostry i bezceremonjalny w zwalczaniu asymilacji, popadł z powodu tych zalet w konflikt z osobistościami z nim spokrewnionemi, a zajmującemi najwybitniejsze posterunki w obozie asymilacyjnym. Gorszy atoli jeszcze był konflikt z reprezentantami gminy, w której rozbił — w najlepszej oczywiście nadziei — namioty życiowej przyszłości.

Misja duszpasterska wydawała mu się najszczytniejszą możnością uszlachetniania serc i umysłów, tudzież wpajania w nie wzniosłej idei. Dla tej misji zdecydował się przyjąć posadę rabina i kaznodziei w Stanisławowie i tu stał się odrazu — dla swej działalności wychowawczej i etyki, bijącej z jego wystąpień — bożyszczem ludności żydowskiej. Ale im więcej był czczony i kochany przez gminę, tem był bardziej nienawidzony i szykanowany przez — przełożeństwo gminy.

Nic dziwnego!

W atmosferę bagniska prowincjonalnego, przesyconą miazmatami oportunizmu i zaprzaństwa narodowego, wprowadził Markus Braude ożywcze tchnienie samowiedzy narodowej. W nastrój „familijno-intymny“, będący podkładem dla załatwiania spraw publicznych, wniósł ton powagi i poczucia odpowiedzialności. Mowy z kazalnicy, tchnące zazwyczaj u innych ckliwym sentymentalizmem lub banalnem mentorowaniem, opierał na podłożu głębokiej myśli. Masy, wielbiące „z obowiązku“ swoją domorosłą trójcę: pana starostę, burmistrza i prezesa kahału, uświadamiał na temat dumy narodowej, godności osobistej i praw obywatelskich.

I za to też coraz więcej lgnęły ku niemu masy żydowskie, coraz silniej burzył się przeciw niemu — kahał.

Kahał zwyciężył. Braude opuścić musiał placówkę, gdzie wśród cierni i głogów, zdołał przecież zasiać najpiękniejsze kwiaty wiary i otuchy.

Wyrzekli go się matadorzy kahalnej ciasnej prowincji — masy żydowskie w kraju garnęły się tem mocniej pod jego

skrzydła opiekuńcze. Konferencja sjonistów w roku 1907, pierwsza, która — w niemałej mierze za przyczynieniem się Braudego — uchwaliła wyodrębnić galicyjską organizację sjonistyczną od państwowej organizacyi austrjackiej, wyniosła jednogłośnie Braudego na prezesa partyi galicyjskiej.

Wyposażony pierwszorzędnym talentem organizacyjnym, pierwszy prezes stronnictwa galicyjskiego wiedział na podstawie doświadczeń osobistych, że ludność żydowska nie podźwignie się ku wyżynie idei, póki samodzielność jej gospodarcza spętana będzie przez kilku bankierów izraelickich. Wyzwolić drobnomieszczaństwo żydowskie ekonomicznie — stało się tedy pierwszem hasłem jego rządów. Założenie „Unji kredytowej" było pierwszym ku temu krokiem.

W roku następnym jego przewodnictwa odbyła się doniosła manifestacja woli narodowej Żydów ex re wyborów do Rady państwa. Dla Braudego skończyła się walka wyborcza niepowodzeniem osobistem. Niemniej niepowodzenie to uwieńczone było nietylko tak pięknym sukcesem partyjnym, jak założeniem klubu żydowskiego, lecz okraszone było nadto wyolbrzymieniem jego własnej indywidualności.

Z czasów praktyki kaznodziejskiej zachował Braude ten chwalebny zwyczaj, iż tytułował — i po dziś dzień jeszcze często „przez zapomnienie" tytułuje — publiczność na mityngach ludowych, jakgdyby rozmodlony tłum w templum, tradycyjnym zwrotem rabinackim: „Moi nabożni słuchacze!" W istocie słuchano go na zgromadzeniach wyborczych z nabożeństwem, omal że z namaszczeniem.

Wyswobodzenie materjalne i wzlot kulturalny: oto główne motywa jego ówczesnych przemówień. Z zasadniczych problemów i poglądu ogólnego na posłannictwo żydostwa, wywodził postulaty aktualne chwili i zdawał się w myśl słów wieszcza jednem skrzydłem myśli „uderzać o przeszłość, a drugiem o przyszłość narodu".

W stolicy kraju udało mu się uzyskać blisko 1000 głosów i to z jednej strony przeciw — spowinowaconemu z nim zresztą — największemu potentatowi kahału i — giełdy, ze strony drugiej przeciw najczerwieńszemu reprezentantowi — „głodnych robotników".

Wprost tryumfowi równał się jego „upadek“ w dawnej siedzibie. Obalił tu odrazu kandydata asymilacyi, pana kahału i — propinacyi, a następnie przy ścisłych wyborach pozostał wobec Stwiertni, demokraty starego typu, w mniejszości o 96 głosów, gdyż kuglarstwem politycznem unieważniono mu głosów 156.

Bądź co bądź kampanję wyborczą przegrał. Ale wśród kampanji przegranej dziwnem zrządzeniem losu i Amora „wygrał“ — żonę.

Postać zewnętrzna Braudego nadawała się świetnie do tego, by szalały za nim podlotki. Że zaś z urodą ciała harmonizuje kultura ducha, więc nie dziw, że panna, obdarzona sama silnym intelektem i dużą dozą idealizmu, w nim odnalazła swój — ideał.

W czasie, gdy pod wpływem mów wyborczych Braudego, serca słuchaczy zapałały ku niemu ufnością i uwielbieniem, w sercu jednej słuchaczki zatliła — iskierka miłości. By wniknąć w świat myśli swego mistrza — idei uczyła się hebrajskiego; by okazać się godną swego mistrza — serca uczyła się odeń umiejętności opanowania życia i barjer życiowych.

Ale gdy z pośród wyborców w decydującej chwili niektórzy, zdjęci trwogą na widok wzburzonych min „władzy wyższej“, sprzeniewierzyli się swemu kandydatowi, młoda syonistka ze stałością, przeczącą treści arji „Verdiego“ „La donna mobile“ — mimo wzburzonego lica „władzy familijnej“ — dotrzymała swemu kandydatowi wierności aż — do zwycięstwa.

Znalazłszy w ten sposób towarzyszkę życia, a i dzielną towarzyszkę — pracy, zdecydował się Braude ponownie zakosztować chleb rabinacko-duszpasterski, tym razem w rejmontowskiej „Ziemi Obiecanej“. On jednak zawsze tensam i niezmieniony i teraz nie zasklepia się w sybarytyźmie geldhabów łódzkich, lecz prawi królom wełny o kulturze żydowskiej i przy pomocy dzielnej swej małżonki tworzy całą sieć szkolnictwa hebrajskiego, dając plejadzie nauczycieli żydowskich możność życia i wyżycia się, a karm duchową setkom młodzieży.

Jako zastępca żydowskiej gminy, poruczonej jego duchowej pieczy, formalnie zaś jako delegat Żydowskiej Rady Narodowej w Polsce, uczestniczył Braude w „Comité des Délégations juives“ w Paryżu, gdzie szczególnie był czynny w komisji memorjałowej, tudzież przy pertraktacjach z oficjalną delegacją polską.

Także w sjoniźmie międzyterytorjalnym ma on ustaloną markę. W konflikcie między sjonizmem wschodnim a zachodnim

stawał zawsze po stronie pierwszego. W pamiętnej debacie generalnej w Hamburgu wystąpił przeciw Wolfsohnowi głównie za odmówienie poparcia dla jego dzieła: Unii kredytowej. Wolfsohn odpowiedział na ten zarzut zarówno zjadliwie, jak dowcipnie, iż uważa za nieszczęście, jeśli „założycielami banków stają się — rabini".

Ta krytyka jednak „konsekwencją-bankową" naszego rabina bynajmniej nie wstrząsnęła. Owszem! W Paryżu na poufnych zebraniach sjonistycznych skrytykował z niemniejszem zacięciem Usyszkina i naczelne kierownictwo partji za ograniczenia imigracyjne, oraz za to, iż nie pomyśleli dotychczas o „banku imigracyjnym", „banku likwidacyjnym" i szeregu banków innych.

Jak skory jest jednak do zabierania głosu, jak pochopny do czynu, tak niekłamaną ma awersję do pióra. Gdy zakładał wymienioną instytucję finansową, wolał — miasto pisywać i wysyłać prospekty — jeździć do Wiednia i zagranicę, miasto przekonywać wolał tworzyć, miasto zbierać pieniądze w drodze subskrypcji, czeków i pokwitowań, wolał odrazu — ściągać.

Tłumaczą to życzliwi okolicznością, iż dla Braudego jakakolwiek pisanina jest na wszelki wypadek tylko — surogatem czynu. Sądzą natomiast złośliwi, iż, by rzecz napisać, trzeba zasiąść, chwycić za pióro i — pisać, a to wszystko wyprowadza z trybu burżuazyjnego „wygodnictwa", które mimo wszystko charakteryzuje tego niezwykłego rabina.

Faktem jest, iż ledwie dowiedział się Braude w Paryżu, że Marshall interesuje się potrzebami Żydów w poszczególnych krajach, nie omieszkał natychmiast pójść do hotelu Continental, by drogą argumentacji i perswazji pozyskać amerykańską delegację, ściślej mówiąc: amerykańskie pieniądze — dla szkolnictwa hebrajskiego w Polsce. Ale gdy miał dostarczyć artykułu dla zbiorowego wydawnictwa Komitetu właśnie na temat potrzeb kulturalnych Żydostwa polskiego, tyle razy przyrzekał i odkładał, odkładał i przyrzekał ponownie, że im więcej zapewniał, iż „zabierze się do artykułu", iż „ułoży" i „napisze", tem więcej stało się dla znających stosunki i — Braudego widoczne, że tym razem surogatem czynu zostaną — zapewnienia.

Pozatem korzystał skrzętnie z pobytu w stolicy świata, by napawać się jej urokiem, wspaniałością widoków i świetnością sztuki. Przy subtelnie rozwiniętym zmyśle piękna przejmował się

barwnością i powiewnością Paryża, swobodą ludzi, szykownością mód i elegancją tych, którym — mody te służą.

A pełen zachwytu nad tymi czarami i cudownością, bijącą z dzieł pomysłowości boskiej i — ludzkiej, zaglądał później, przeważnie w towarzystwie swego przyjaciela i kolegi w zawodzie, który jednak nad Sekwaną zwykł był zachwycać się — Berlinem, do „Café Madrid", by tu znów wśród zgiełku i gwaru wielkich bulwarów, na tle smacznych „hors d'oeuvre'ów", podziwiać płody francuskiej sztuki kulinarnej.

A tak roztkliwiony, przepojony wrażeniami estetycznemi, wracał w końcu do pokoju hotelowego, by w cichości i skupieniu obmyśleć i na posiedzeniu dnia następnego z temperamentem i misterną logiką przedstawić nowy projekt banku, lub plan rozgałęzienia szkolnictwa.

I wszyscy radzić będą nad nową inicjatywą, zgodzą się lub odrzucą. Ale tak czy owak Braude, mąż czynu, sam inicjatywę zrealizuje, i dzieło zamierzone stworzy.

LOUIS MARSHALL

Średniej tuszy i średniego wzrostu, o krótko strzyżonych włosach, ostrych rysach twarzy wygolonej po amerykańsku, szerokim nosie z nasadzonym złotym cwikrem, z poza którego lśnią małe, ruchliwe oczy. Wiceprezes kongresu żydowsko-amerykańskiego oraz delegacji żydowsko-amerykańskiej na konferencję pokojową, wiceprezes, a — po wyjeździe Macka — prezes „Comité des délégations juives auprés de la Conférence de la Paix". Tak tedy jeden z głównych chorążych w walce o prawa narodowe Żydów.

A rola ta nie przypadła mu tak łatwo.

Demokrata z przekonania i z przynależności partyjnej, liczmany demokratyzmu, równości i sprawiedliwości brał za monetę, którą rozwiąże się także problem żydowski i dlatego na opak stawał wszelkim bezpośrednim dążeniom narodowym.

Pierwszy perjod wojny światowej. W tętniącem życiem i siłą ghecie nowojorskiem rozszalała walka o zwołanie powszechnego kongresu Żydów amerykańskich. Marshall, wierny swoim zasadom, stacza zacięte boje; w zajadłej kampanii publicystycznej i ostrej szermierce polemicznej ściera się z tak wybitnymi reprezentantami myśli kongresowej, jak Brandeis, Stephen Wise i Mack.

Aż wreszcie mąż polityki realnej, hardy w postanowieniach i bezwzględny w ich realizacyi, lecz daleki od krnąbrności lub zacietrzewienia partyjnego — korzy się przed „imperatywem" stosunków politycznych w żydostwie, składa broń i idzie walczyć wespół z tymi, na których dotychczas rzucał pociski. I odtąd z temperamentem jaki go znamionuje, rzuca potęgę swych wpływów, blask swego nazwiska i niezwykłą swą zdolność agitacyjną na szalę akcyi kongresowej. W nadzwyczajnem powodzeniu „Jewish American Congress" ma tedy Marshall lwi udział i nie dziw,

że z ramienia kongresu wszedł do prezydjum delegacyi pokojowej. Tu odrazu wysunął się na czoło „Komitetu Delegacyj“ swą wybitną indywidualnością.

Przyzwyczajony naginać formalności do swojej woli, zajmował się bardzo mało zadaniami „komisji odszkodowawczej“, której wybrany został przewodniczącym i w tem, że je zlekceważył i zaprzepaścił, leży przyczyna braku rezultatów na tem polu. Fakt ten zapisać oczywiście należy jako minus w koncie jego działalności. Ale zato od pierwszej chwili tem chętniej i tem gorliwiej wszedł w sam środek koła konszachtów i zabiegów dyplomatycznych i dzierżył ster pracy politycznej gwoli wywalczenia praw narodowych dla ludności żydowskiej.

W usiłowaniach, podjętych samorzutnie i bez formalnej autoryzacyi, spotykał się tu i ówdzie — w chwilach zwłaszcza, gdy praca Komitetu zdawała się utykać na mieliźnie — z niechęcią poszczególnych delegatów. Taksamo i z nietajonem niezadowoleniem Sokołowa, który jako przewodniczący komisji politycznej niejednokrotnie dopiero ex post się dowiadywał, iż jego wybitny towarzysz pracy postawił go w tym lub owym kierunku wobec „fait accompli“. Ale Marshall, pewny siebie i nieugięty jak stal, kroczył nadal obraną drogą, niby apostoł, który dzieło zbawienia musi doprowadzić do końca.

Misja, jaką obrał sobie niejako „na pierwszy rzut“ w „Comité des délégations Juives“, było pośredniczenie między Komitetem, a „Alliance Israélite Universelle“ i „Joint Committe“ celem stworzenia platformy wspólnego działania. Misję tę na Komitecie prawie że wymusił. Oczywiście środkami najbardziej moralnymi. Większość przeciwna była galwanizowaniu trupów politycznych i wszczepianiu w skostniały organizm eliksiru życia. Ale, gdy doszło do głosowania, poddała się autorytetowi i suggestywnemu wpływowi amerykańskiego działacza.

Misja się nie powiodła.

Pod przewodnictwem Marshalla odbyły się na terenie „neutralnym“ w gmachu świątyni, w której ongiś Imperator Francyi za cenę praw obywatelskich uzyskał od „Synhedrionu“ atest nieistnienia narodowości żydowskiej, dwa wieczory dyskusyjne. Uczestniczyli z tamtej grupy obok osobistości takich, jak Waldemar Haffkin, Frank, nadrabin Levy — sekretarz generalny „Alliance“ Bigarr i sekretarz generalny Joint'u Lucien Wolff. Niemniej tryumf

„Komitetu delegacyi“ był aż zbyt widoczny. Ale był to tryumf tylko moralny. „Święto pojednania“, które Marshall chciał stworzyć jako rezultat owych wyczerpujących dyskusyj, okazało się na razie niedoścignionem marzeniem. Usiłowanie wskrzeszenia trupów politycznych było robotą bezużyteczną. Ale jeśli później, gdy asymilatorowie polscy — oczywiście bezowocnie — przywędrowali do metropoli świata, by obudzić czujność kół dyplomatycznych na niebezpieczeństwo intencyj żydowskich, asymilacja francusko-angielska stała w milczeniu na uboczu i na kolegów „ideowych“ z Polski patrzała jeno z politowaniem, jeśli memorjał Haffkina na memorjale Komitetu jakby się wzorował, jeśli w sprawie traktatu z Rumunią „Alliance“ i „Joint“ okazały się zaniepokojone atakiem na prawa obywatelskie Żydów i starały się atak odeprzeć, jeśli Stuart Samuel i Wolff imieniem „Board of Deputies“ oficjalnie wstąpić mieli do „Comité des Délégations Juives“, to kto wie, czy nie są to rezultaty owej potajemnej metamorfozy dusz, w które owe zapasy polemiczne poraz pierwszy może wszczepiły ziarno samowiedzy narodowej i zrozumienia dla zgodnej pracy.

Marshall w ciągu tych wieczorów dyskusyjnych okazał się także świetnym — iście amerykańskim — przewodniczącym. W Ameryce „chairman“ przewodniczy zebraniom przedewszystkiem mocą swego autorytetu i swej władzy dyskrecjonalnej. Tych reguł „objektywności“ trzymał się i Marshall. Udzielał głosu wcześniej tym, którzy zapisali się byli później, pomijał mowców, którzy wydawali mu się dla sprawy niewygodni; wszystko w imię hasła: „cel uświęca środki“.

Gdy niewykonalnem okazało się hasło: „viribus unitis“, zmienił metodę. Wszelkie wpływy i koneksje puścił w ruch dla sprawy, której oddał na usługi całe swe „ja“, swą pilność i inteligencję. Pukał do biur i do — mózgów dyplomatów, by przekonać ich o słuszności naszych żądań. Jeszcze w przededniu podpisania traktatu polskiego kruszyły się szanse „ochrony mniejszości etnicznych“, a dwa punkty ważne — dzięki pewnym manewrom na szachownicy politycznej — nagle zostały wyeliminowane. Marshall zabrał się do roboty i nazajutrz rano oba brakujące postanowienia były znowu objęte treścią traktatu.

Tego męża czynu cechuje twardy upór in puncto raz powziętych decyzyj i niezłomna wiara w sukces. Z łańcucha jego

planów i środków taktycznych wypada nieraz jedno ogniwo po drugiem, a on w chwili, kiedy inni już załamują ręce, wierzy nadal i — działa. Adwokat pierwszorzędny i zastępca wielkich trustów amerykańskich wie, że w sporze prawnym nie wolno zrzec się żadnego środka, prowadzącego ewentualnie do wygranej. Toż gdy przed komisją konferencyi pokojowej na czele deputacji Komitetu bronił sprawy nas tutaj bezpośrednio dotyczącej, miało się wrażenie, jakoby wir życia politycznego uważał za rodzaj procesu, w którym wyczerpać należy całą skalę argumentów i pełną gamę dowodów. Jeno, że w tym wypadku widoczne było, że broni nie jako zastępca sprawy obcej, lecz i swojej własnej.

Każdą godzinę ma skrupulatnie wyliczoną. Mimo sześciu krzyżyków, jakie dźwiga na swych barkach, jest niezwykle obrotny i czynny od rana do późnego wieczora. Jest mistrzem w korzystaniu z czasu i ma dar służenia wszystkim ludziom i powierzonym mu sprawom. Na tem tle wyrosły u niego spotęgowana do najwyższego stopnia duma wewnętrzna i przeświadczenie własnej wartości. I dlatego też ofiarowaną mu prezesurę Komitetu, za którą — nawiasem mówiąc — bardzo tęsknił, odrzucał tak długo, aż „Komitet Delegacyj“ warunki, związane z oddaniem prezesury Marshallowi, a uwłaczające jego przekonaniom, tak złagodził, iż równało się to niemal abdykacji Komitetu.

W parze z dumą idzie jego prostota w życiu codziennem. Skromny w stroju i obejściu, jest też bezpretensjonalny w wymaganiach życiowych. Nie zna zabaw i satysfakcyj innych, prócz pracy. Przez cały czas pobytu w Paryżu zaledwie jeden jedyny wieczór poświęcił rozrywce, oglądając w towarzystwie „revue“ kabaretową. Oczywiście — jest on w każdej sytuacji i w każdym calu — zatem i przy zabawie — patrjotą amerykańskim. Poszedł tedy do Mogador Palace na „revue — amerykańską“, gdzie zderzenie się torpedowców i zatopienie łodzi podwodnych przedstawiały anglo-amerykańskie — jasnowłose diwy.

W odróżnieniu od Sokołowa, który dyplomację uprawia w stylu francuskim: zapomocą „diners“ i „five o'clock tea“, Marshall snuje swe nici dyplomatyczne w suchy sposób businessmenów amerykańskich. Chodzi po biurach i — przekonuje.

W pięknym hotelu Continental zajmował pokój tylny, sąsiadujący z pokojem jednego z najlepszych jego przyjaciół, rektora

seminarjum teologicznego w Ameryce, Cyrusa Adlera. Deputacje, które u Marshalla czekały swej kolei przyjęcia, obierały więc, — gdy ten u siebie był zajęty — pokój sąsiada na poczekalnię. Obcych dyplomatów, którzy się zapraszali do Marshalla z wizytą, zbywał wymówką, iż w Paryżu „ma tylko komnatę sypialną“.

Z nadzwyczajną rzutkością wciąż interweniuje. W hotelu Crillon i Savoy, gdzie mieściła się kuchnia dyplomacyi amerykańskiej, niemniej w Astorji, gdzie wystawiła swój namiot dyplomatyczny Anglja, czuł się jakby w domu.

Ciężko decyduje się Marshall na interwencję w nowej sprawie. Ale skoro dojrzeje w nim postanowienie, daje się wpierw informować jak najskrupulatniej, a potem dla obronienia sprawy wydobywa — co najlepsze — z arsenału nagromadzonych faktów i przykładów. Tak dla uzasadnienia postulatów żydowskich opisał raz w charakterze prezesa „Comité des Délégations Juives“ wobec Wilsona wyjątkowe położenie ludu żydowskiego i tak wymownie kreślił ogrom nieszczęść, które się uwydatniły w łunie pożarów pogromowych, że Wilson, wzruszony do głębi, potok słów, płynących z ust Marshalla, przerwał uwagą: „Proszę zaprzestać, gdyż kraje mi się serce z bolu“.

Jeśli mielibyśmy porównać Marshalla z dobrze nam znaną osobistością lokalną, której zalety wielkie dopiero obecnie w należytem występują świetle, to powiedzielibyśmy, iż temperamentem nieokiełzanym, energją niezrównaną oraz uczciwością osobistą i polityczną przypomina zgasłego przedwcześnie adwokata i demokratę Askenasego. Oczywiście, że u Marshalla wszystko zakrojone jest na miarę amerykańską. W odróżnieniu od zmarłego Askenasego demokrata amerykański dziwnym trybem rzeczy żywi awersję do prasy; jako skuteczną uznaje tylko politykę tajną, „kulisom“ ufa więcej, aniżeli „opinii publicznej“. O sprawach politycznych sądzi to samo, co poeta niemiecki powiedział o kobietach: „Najlepsze są te, o których najmniej się mówi“.

Memorjał Komitetu, opublikowany w pismach, uważał jeno za „dokument historyczny“; żywą, pulsującą krwią rzeczywistością, wydaje mu się tylko to, co się wydostanie z gabinetów ambasadorów i ministrów drogą układów i poufnych rozmów.

Mniej wrogo zachowywał się wobec prasy „rodzimej“, która często w Nowym Jorku przynosiła wiadomości o czynach Marshalla już w parę godzin po ich uskutecznieniu. Mister Richards, se-

kretarz delegacji amerykańskiej, mógłby o tem zapewne coś bliższego opowiedzieć. Ale bądźcobądź Marshall swym pozornie reakcyjnym, „antiprasowym“ sposobem myślenia sprawę doprowadził do zwycięstwa. I tak stało się, że kiedy Niemcy podpisami swymi przypieczętowali błogosławieństwo pokoju, równocześnie reprezentanci Rzeczpospolitej polskiej stwierdzili podpisami: iż stworzyć chcą podwalinę pokoju narodowego dla mniejszości żydowskiej.

Po podpisaniu traktatu wersalskiego przez Polaków pierwszym krokiem politycznym Marshalla była — gratulacja, jaką wraz z Sokołowem złożył osobiście Paderewskiemu z powodu uznania samodzielności politycznej Polski przez kongres pokojowy. Z obu reprezentantów Polski na konferencyi paryskiej Marshall znał leadera demokracyi narodowej już z lat poprzednich. W rozmowie odbytej z nim raz w Ameryce w sprawie bojkotu Żydów na ziemiach polskich wypowiedział Marshall wobec Dmowskiego szczerze i uczciwie „verba veritatis“, tak jak one ciążyły mu na sercu. Obecnie wobec Paderewskiego dał również wyraz niezadowoleniu i rozgoryczeniu, jakiem przepojona jest dusza ludu żydowskiego, ale na skutek zapewnienia poprawy stosunków ze strony polskiego dyplomaty, nie skąpił wobec niego słów nadziei, że w wolnej Polsce pod rządami rozumnych i liberalnych mężów stanu zaświta i dla mniejszości narodowych jutrzenka swobody.

Tę wiarę głosił też Marshall i wobec nas w Komitecie, a biada gdyby ktoś wobec niego śmiał był podciągnąć pod skalpel obserwacyi i pod analizę doświadczeń jego naiwną czasem ufność. Rzecz dziwna! On sam w życiu politycznem często znajduje się w opozycji; jako wódz stronnictwa „demokratycznego“ w Ameryce stoi na linji opozycyjnej w stosunku do prezydenta Stanów Zjednoczonych, wybrańca „liberałów“. A przecież daje wyraz swemu oburzeniu, ilekroć opozycja zwraca się przeciw niemu. Wnioski mu niemiłe przesuwa z posiedzenia na posiedzenie. W Komitecie najwięcej kłopotu miał zawsze z wnioskami prasowymi. Wywijał się jak mógł, a gdy już liczył się z bliskim swym wyjazdem, pocieszał wnioskodawców, że potem mieć będą wolną rękę.

Ale w rzeczywistości Marshall nie stosuje dewizy możnowładców francuskich: „Après moi le déluge“. Po powrocie do Ameryki z równem jak dawniej zainteresowaniem po dziś dzień,

śledzi bieg wypadków i interweniuje tam na miejscu, jakto czynił przedtem w środowisku pracy konferencyjnej.

W kontraście z jego pewnością siebie stoi niezrozumiałe wprost zdenerwowanie wobec krytyki jego czynów czy zamierzeń. Przewodniczący towarzystwa prowincjonalnego na głos krytyki z którejkolwiek strony zwykł używać często drastycznego argumentu: wydaje z rąk „hetmańską buławę“ i — rezygnuje. Ale jakże pogodzić z wielkością ducha polityka nowojorskiego tę taktykę — dygnitarzy z Abdery? „Zrób Pan to lepiej“ — odpowiadał nieraz temu lub owemu „krytykowi“ i opuszczając salę, składał ster i — akta. Wnet jednak opamiętywał się, gdyż czuł, że zasada: „biegen oder brechen“ nie zawsze popłaca. Jeśli więc „łamanie“ okazywało się niemożliwem, obierał ku ogólnemu zadowoleniu metodę drugą.

Jako mowca ma Marshall sławę ustaloną. Przemawiał w Paryżu kilkakrotnie na liczniejszych zebraniach, raz także na masowym mityngu „Ligi praw człowieka“. Przemawia — nie jak mowca anglo-saksoński spokojny i wyprostowany, lecz raczej — jak orator krajów romańskich. W ruchu są nietylko usta, lecz także cała postać. Mówi żywo i z werwą; wobec grona ścisłego często namiętnie, jakby na zgromadzeniu ludowem. A wszystko co mówi, ilustruje rękami, uwydatnia twarzą i wybija — pięścią. Organ świetnie modeluje od tonów najniższych do najwyższych. To głosem stentorowym gromi „burzycieli wolności“, to miękko pieści przedstawicieli wielkich mocarstw koalicji za ich pieczę nad uciśnionymi narodami. Najsilniej działa, gdy stosuje skalę: fortissimo. Rodacy amerykańscy cenią w nim swego Demostenesa. A na zebraniach urządzanych przez nich, jak to było w wieczór wielkanocny przy wspólnej biesiadzie „manager“ zebrania, ręką daje znaki „klace“, kiedy i z jakim tupetem ma klaskać i wykrzykiwać.

My, sjoniści, żałujemy oczywiście, że Marshall nie należy do nas. Na wieczorze pożegnalnym liczni mowcy życzyli mu na przyszłą drogę życia szczęścia i — sjonizmu. Krótko i węzłowato odpowiedział Marshall, że mu sjonizmu do szczęścia nie potrzeba, gdyż „samo żydostwo jest dość duże i w niem dostateczną znajznajduje treść życia“. Tak tedy ma i teorję dla swego asjonizmu, złośliwi zaś utrzymują, że ta teorja ma źródło w starym konflikcie z Brandeisem. Możemy więc jeszcze dożyć niejednej nie-

spodzianki. Mieliśmy ją w kierunku dodatnim, gdy popierać począł nasze tendencje w dziedzinie autonomii narodowej. Na razie idąc przeciw sjonistom na walnem zgromadzeniu „Joint Distribution Committee“ głosował przeciw funduszowi palestyńskiemu, utworzyć się mającemu ze wspólnej zbiórki.

Niemniej uznajemy w całej pełni jego powagę, zdolności i zasługi około narodowych dążeń Żydów. I cieszymy się uznaniem, jakie mu wyrażają Żydzi w Ameryce.

W niedługi czas po podpisaniu traktatu wersalskiego Marshall wrócił do Nowego Jorku. A że nie znosi prasy i reklamy, więc wyjechał całkiem cicho, nikogo o tem nie zawiadomiwszy. Niemniej, gdy w Nowym Jorku opuścił pokład parowca, już z gardzieli zgromadzonych tłumów rozległy się okrzyki: hurra! na cześć zasłużonego męża. Następnie zawiązał się komitet dla urządzenia bankietu powitalnego. Ile osób pokłon mu oddało na bankiecie nie wiemy, ale „ściślejszy“ komitet przygotowawczy obejmował równo osób — 1000.

JULIAN W. MACK

„Judge Mack" — sędzia Mack — nazywają go wszyscy. Pod tem mianem przewodził kongresowi Żydów amerykańskich, a następnie delegacji żydowsko-amerykańskiej w Paryżu. Pod tem mianem wybrany został pierwszym prezesem „Comité des Délégations Juives". Pod tem mianem wreszcie znany jest z swej działalności w stronnictwie sjonistycznem.

Dlaczego właśnie u niego zawód tak nierozerwalnie się skojarzył z osobą, iż razem dopiero jedno tworzą pojęcie?

Lepszym od niego jurystą jest amerykański profesor prawa, towarzysz nasz, Frankfurter, a przecież i bez wymienienia jego stanowiska na pierwszy rzut wiemy, z kim mamy do czynienia. Wyższym od niego sędzią jest Brandeis, a przecież nigdy w życiu publicznem osobistość jego nie identyfikuje się z — togą sędziowską. Zdaje się, iż Mack sam tak przylgnął życiowo do swojej misji sędziowskiej (w Ameryce wśród zawodów cywilnych najzaszczytniejszej), i tem upodobaniem i respektem tak przejął otoczenie, że zwolna nawet imię jego zatarło się w pamięci znajomych, wyparte przez jego — urząd sędziowski.

„Sędzią" czuje się w każdym calu także poza urzędem. W Paryżu, po burzliwych czasem debatach w Komitecie, gonił do domu, by — jak mówił — wygotować jeszcze i przesłać do Ameryki parę zaległych wyroków, które urzędowi swemu — pozostał dłużny. Po 4 miesiącach pobytu w stolicy nadsekwańskiej — jeszcze przed podpisaniem traktatu wersalskiego — opuścił delegację i pracę, którą tak bardzo pokochał, bo — acz jako sędzia wyższej kategorji, mianowany bezpośrednio przez prezydenta republiki, odpowiedzialny jest tylko przed własnem sumieniem — doznawał jednak wyrzutów sumienia z powodu długiego rozbratu z — Temidą.

I fizjognomja jego smukła, ruchliwa i czynna odpowiada jego roli w hierarchii społecznej, a twarz gładko wygolona o mi-

nie uroczystej, o powadze bijącej z oszklonych, patrzących badawczo oczu, przypomina uroczysty wygląd sali rozpraw w chwili ogłoszenia wyroku. Pozatem postać silna, na szerokich barkach osadzona mięsista szyja, a czoło wysokie świetnie występuje z poza bogatych jeszcze resztek włosów, starannie uczesanych i wygładzonych.

Jako sjonista jest jednym z najlepszych — nabytków wojennych. Jak legiony Żydów w Stanach Zjednoczonych, tak i jego zrobił sjonistą — Balfour swoją deklaracją, a utwierdził go w idei sjonistycznej — Wilson popieraniem owej deklaracji. Gdy jednak inni businesowcy amerykańscy na znak obudzenia się ich dusz w kierunku sjonizmu, poświęcają organizacji tylko — „monney“, Mack jest jednym z nielicznych, w których sercu — uśpionem latami — wybuchł płomień ofiar moralnych, wyrastających coraz na nowo na podłożu żmudnej pracy organizacyjnej i propagandystycznej. Nie dziw też, że z okazji prowizorycznej „rekonstrukcji“ „Komitetu wykonawczego“, w roku 1916, Mack wszedł jako jeden z reprezentantów Żydostwa amerykańskiego w skład naczelnego kierownictwa wszechświatowej organizacji sjonistycznej.

Dowody prężności bojowej złożył następnie, gdy w zrozumieniu logiki dziejów stanął na czele walczących o zwołanie kongresu Żydów amerykańskich, paraliżując opozycję początkową najwybitniejszego w Ghecie nowojorskiem polityka dnia. Zacięte boje staczał z Marshallem, aż go pokonał, czy raczej — przekonał. Starcie to między nimi było pierwsze, ale i — ostatnie. Od czasu, gdy ich skuł w wspólnej pracy żar miłości do narodu żydowskiego, Mack nietylko bez zazdrości patrzy na sukcesy Marshalla, ale sam nawet często toruje mu drogę ku wawrzynom. Wyprzedziwszy przyjazdem swoim do Paryża o jakie 2 tygodnie swego wielkiego współpracownika, zarezerwował dlań w Komitecie naczelne stanowiska i kierownicze czynności, a o jego zdolnościach i energii opowiadał nam nie jakby współzawodnik, lecz jakby jego — impresarjo. Później stało się widoczne, że nie tylko nas umiał przejmować czcią dla Marshalla, lecz że także sam pozostawał pod wpływem jego indywidualności. Obaj mieli też zawsze w Komitecie zgodne zapatrywania, t. zn. ściślej mówiąc nasz towarzysz partyjny zgadzał się z zapatrywaniami swego towarzysza pracy. A gdy odjeżdżał, puścił

w ruch cały aparat organizacyjny Komitetu i okazał się mistrzem w konwentyklowaniu, byleby swemu przyjacielowi pozostawić w spuściźnie po sobie prezesurę Komitetu. Jedni widzą w tem wielkość ducha, która umie oceniać choćby zasługi rywala, złośliwi dopatrują się sprytu egoistycznej myśli, która pojęła, iż rodakom w Ameryce tembardziej zaimponuje prezes Mack, skoro jego następcą będzie — Marshall.

Jako prezes Komitetu okazywał również nadzwyczajne kwalifikacje — sędziowskie. Nietylko sam był najpilniejszym i najpunktualniejszym uczestnikiem „sesyj“, ale z obowiązkową urzędową cierpliwością umiał też świetnie wysłuchiwać — mowców. Arcydzieło kunsztu tworzył zazwyczaj po zamknięciu dyskusji, gdy w „résumé“, streszczając tok obrad, łagodził sprzeczności, wyrównywał dysharmonie a w końcu segregował wnioski, oddzielając „ziarno od plewy“: wnioski, którym chciał dopomóc do powagi uchwał — od propozycyj, wydających mu się wybrykiem bujnej fantazji.

Rękojmią dobrego przewodniczenia był dlań stos papierów, ułożonych na stole, z których „Judge Mack“ w ciągu posiedzenia wyrzynał małemi nożycami, jakie w tym celu snać zawsze nosił przy sobie, obrazki i ryciny o przeróżnych formatach i rozmiarach. Biada, jeśli czasem o późnej porze po odejściu personalu i zamknięciu szaf biurowych musiało się odbyć posiedzenie bez takich — przeznaczonych na zagładę — arkuszy papierowych! Posiedzenie takie, rozpoczynające się odrazu — złym humorem przewodniczącego, nie mogło nigdy spokojnie dobiec końca. Zdarzało się czasem, iż przewodniczący, zajęty owem misternem wycinaniem wzorów i „nalepianek“, wypuszczał na chwilę cugle z rąk i dawał wodze gadatliwości delegatów, wzajem sobie przerywających. Ale wówczas wystarczał tradycyjny gest popularnego w Ameryce mowcy ludowego i członka delegacji, Barondessa, który „w sprawie nagłej“ żądał głosu i „nagłe“ stawiał pytanie: „who is the chairman?“ (kto przewodniczy?), by „Judge Mack“ poczuł się znowu w pełni władzy, by usunął na chwilę płody „artyzmu“ i znowu ujął lejce przewodnictwa w energiczne ręce.

Wymowa jego polega na dużej sile głosu i zależy od warunku, by na zebraniu przemawiał także — Marshall. „Speech“ Marshalla jest dla Macka bojową pobudką. Nie chce go wprawdzie prześcignąć, ale nie chce też — pozostać w tyle. A gdy

Marshall moduluje głos od „dolce“ do skali najwyższej, Mack — by mu dorównać — nastraja odrazu głos na ton najsilniejszy i prowadzi go od fortissimo aż do — chrypki.

Będąc — zarówno, jak i jego „pierwowzór“ — wrogiem turniejów publicystycznych na arenie dyplomatycznej, nie mniej sam tu i ówdzie udziela się publicystyce, przesyłając tym lub owym organom prasy czy wydawnictwom artykuły i interwiewy. Czyni to w sposób iście amerykański, (praktykowany zresztą ostatnimi czasy i w Francji), a polegający na tem, że artykuł zaopatruje w swój — podpis autentyczny, „resztę“ pracy zaś pozostawia — sekretarzowi. Tę zaszczytną misję czasowego — myślenia w zastępstwie prezydjum pełnił godnie w delegacji żydowsko-amerykańskiej p. B. Richards. W imię prawdy należy jednak stwierdzić, iż, jeśli Mackowi elaborat sekretarza wydaje się niegodnym jego — podpisu, jak to miało miejsce z artykułem dla zbiorowej książki, wydanej przezemnie imieniem „Comité des Delegations“, Mack artykuł nietylko podpisuje, lecz i sam — pisze. Piętno jego umysłowości, co prawda niezbyt szerokiej i samodzielnej, ale sumiennej i harmonijnej, nosi też przedmowa do dzieła, wydanego ostatnio w Nowym Jorku przez działacza sjonistycznego Rosenblatta pt.: „Social Zionism“.

Jak potrzebny mu jest autorytet w pracy narodowej, tak musi mieć przed sobą autorytet i w pracy sjonistycznej. Że zaś jest człowiekiem o urzędniczej dyscyplinie i zarazem prezesem amerykańskiej organizacji sjonistycznej, to autorytet dla siebie znalazł na tym punkcie odrazu w osobie żydowskiego urzędnika, stojącego na najwyższym szczeblu karjery sędziowskiej, a piastującego zarazem w stronnictwie sjonistycznem w Ameryce godność prezesa — honorowego.

Z niekłamanym zapałem, lubo bez fanatyzmu, interesował się Mack sprawami, będącemi na porządku dziennym perjodycznych posiedzeń Komitetu Wykonawczego w Paryżu. W stanowisku jednak, jakie zajmował wobec poszczególnych kwestyj nie wyłamywał się nigdy poza ramy znanych w tym lub owym kierunku poglądów nieobecnego zresztą naczelnego wodza amerykańskich sjonistów. I tak będąc poplecznikiem postępu i demokracji nie spostrzegał, że działając jakby wedle dyktatu innych, niejednokrotnie dawał się wprzęgać do rydwanu reakcji.

Na ogół znakomity prowodyr, świetny pracownik w każdej pozycji i jeden z najgorliwszych orędowników powierzonych mu spraw. Skromny i nieprzystępny dla pokus próżności, skromny jest także w swoich dążeniach politycznych. Na lot orli lub bieg farysa go nie stać. W najlepszym razie zdobędzie się na małe reformy w wielkim stylu. Nigdy odwrotnie. Nie chce tak bardzo przewodzić, jak kroczyć razem, oczywiście — na czele, choćby razem z wielu innymi. Ale nie chce nigdy iść na przebój, nie chce pędzić cwałem, ani brać szturmem. Zdania wyrobionego bronić jednak gotów do upadłego. Tylko, że to zdanie — o ile wkracza w dziedzinę autonomii narodowej — jest zdaniem — Marshalla, a, o ile wchodzi w zakres problemów partyjnych, jest zdaniem — Brandeisa.

LEON MOCKIN

Swego czasu przyniosły pisma żydowskie wiadomość, że zwołana na początek marca roku 1820 konferencja gospodarcza w Zurychu została odroczoną. Po wielu miesiącach dopiero odbyła się owa konferencja, która zrodziła światową „Centralę pomocy„ we Wiedniu. Ale odroczenie owo za każdym razem najwięcej kłopotu a może i zmartwienia przysporzyło temu, który był pierwszym inicjatorem i niestrudzonym szermierzem projektu takiej konferencji, a tym człowiekiem jest — „papa Mockin".

Tak nazywają go przyjaciele i dobrzy znajomi z „Comité des Délégations Juives". Albowiem niema rzeczy, wychodzącej poza mury apartamentów przy rue St. Lazare, a obecnie przy placu Édouard VII, którejby Mockin nie otaczał ojcowską pieczą.

Będąc jednym z pierwszych przy narodzinach Komitetu pełni w nim formalnie funkcję sekretarza generalnego, faktycznie jest mu — ojcem. Nie jak ojciec surowy, wymagający i niezadowolony, lecz jak łagodny, wyrozumiały i troskliwy — tatuś.

Podtatusiały jest też jego wygląd zewnętrzny. Na krótkich nogach osadzony krępy tułów: szerokie barki zakończone głową o myślącem wysokiem czole i kłębach włosów, opadających na kołnierz; a małe sprytne oczy patrzą z poza cwikra z dobrodusznym uśmiechem, zasłoniętym niedbale spuszczonym wąsem i niedbale ufryzowaną kozią bródką.

Jako jeden z najstarszych syonistów doby jeszcze przedherzlowskiej, znany jest w stronnictwie zarówno z występów na kongresach, jak i z długoletniej działalności w Komitecie Wykonawczym (A. C.). Z ramienia tegoż Komitetu objął w roku 1915 kierownictwo biura, założonego na czas trwania wojny w Kopenhadze. Kiedy później wyłonił się plan utworzenia w Sztokholmie biura neutralnego z jednym reprezentantem państw centralnych a jednym

koalicyjnym — w rachubę wchodził podówczas i nieodżałowany Adolf Stand — Mockin, jako obywatel dawnej Rosji, przeznaczony był na reprezentanta Żydów państw Ententy. Plan nie dojrzał i Mockin został w stolicy Danji. Jako wysłannik partji wyjechał następnie w lutym 1919 na konferencję syonistyczną do Londynu, skąd organizacja wydelegowała go — obok Rosoffa — jako swego przedstawiciela do Paryża w celu objęcia generalnego sekretarjatu. Tę ostatnią okoliczność tłumaczą złośliwi i nieprzychylni jego osobie w ten sposób, iż Komitet Wykonawczy chciał go się pozbyć i dlatego „odstąpił“ go Paryżowi. Nic bardziej niesprawiedliwego!

Prawda, że Mockin jest mistrzem w stwarzaniu sobie wrogów. A wydaje się to paradoksem, jeśli powiemy: nie zgadza się z nikim i nikt nie zgadza się z nim, a przecież niema żadnej ważniejszej komisji ani wybitnego stanowiska partyjnego, by jako pierwszy kandydat nie wypłynął odrazu — Mockin.

W czem leży tajemnica tego podwójnego zagadnienia? Jego braku sympatji z jednej, a istnienia wpływu z drugiej strony?

Oto mimo dobrotliwości mu wrodzonej, nie zawsze przebiera w słowach wobec ludzi go otaczających, ba nawet wobec członków Komitetu, których — zwłaszcza, jeśli jest „przeciążony pracą“ — potrafi — jak „papa“ wśród „dzieciarni“ — ofuknąć. Przyjmuje kolejno zgłaszających się doń w bieżących sprawach członków i nieczłonków Komitetu, wyznacza im wedle zegarka czas następnej konferencji, przyczem nie grzeszy przesadną uprzejmością i często po takiej rozmowie lub — próbie rozmowy ma — nowego przeciwnika. To, co Francuzi nazywają „savoir-vivre“, nie jest jego rolą popisową.

Lecz gdy chodzi o akcję poważną, za którą stoją odpowiedzialne czynniki, czuje każdy nawet i z pośród — niezadowolonych, że rezygnacja z współpracy Mockina, byłaby omal że — zaprzepaszczeniem dzieła. Taki bowiem w każdej powierzonej mu misji jest pracowity, skrupulatny i sumienny.

Te same zalety stanowią też i jego — wady. Mrówcza pilność i skrupulatność wychodzą czasem na szkodę sprawie. Tak pilnie bowiem i skrupulatnie załatwia sprawę, aż załatwienie staje się — zbyteczne.

Zdenerwowania w urzędowaniu nie znosi. „Festina lente“ — zdaje się być jego hasłem. Najbardziej oburzony jest, jeśli

okazuje się czasem potrzeba natychmiastowego ułożenia i przesłania memorjałów. Jak ów prezes prowincjonalnego towarzystwa, wezwany do wygłoszenia mowy pogrzebowej skutkiem nagłego zgonu członka, zawrzał oburzeniem z powodu, iż nie wiedział o konieczności wygłoszenia mowy przynajmniej na — kilka dni przedtem, tak i on narzeka i sierdzi się, jeśli o koniecznościach dopiero co nagle wyłonionych, wspomina mu się w ostatniej chwili. I siły biurowe wtedy są zajęte i maszyny — obsadzone. Ale, gdy się zmityguje i zabierze do roboty, wychodzi na jaw silna strona jego zdolności i zwinności. Dokument, ułożony przez niego i spisany pod jego kontrolą, jest wzorem pism polityczno-dyplomatycznych zarówno pod względem treści, jak i formy.

Tak z upoważnienia syonistów rosyjskich ułożyć miał zbiór dokumentów z czasów caryzmu rosyjskiego aż do chwili wybuchu wojny. Zbiór ten układał przez lat 6, ale obecnie, po opublikowaniu pod redakcją Mockina i Chazanowicza, dzieło to przedstawia się jako materjał źródłowy niepospolitej wartości. Taksamo memorjał, ułożony przez „Comité des Délégations Juives“, w celu przedłożenia go konferencji pokojowej, został wydrukowany — nieco zapóźno, bo dopiero wtedy, gdy postulaty mniejszości żydowskiej były już przez mocarzy konferencyjnych ustalone. Ale gdy memorjał się pojawił, uznali wszyscy, że choćby, jako „dokument historyczny“ pełni godnie swe przeznaczenie i budzi szacunek tak dla osób, które się z celami memorjału identyfikują, jak i dla celów samych.

Mockin nie wydaje rzeczy pisanej, dopóki sam nie uzna jej za wykończoną „strictissime“ i bez zarzutu.

Formalista z krwi i kości, nie jest jednak bezdusznym biurokratą, któremu natchnienie do pracy daje tylko — stos aktów. Owszem! Z uwagą i szacunkiem wsłuchiwać się zwykł w tętno życia żydowskiego i z czeluści życia wydobywa zapał do czynów, oraz wskazówki dla swej działalności. Zanim jednak poweźmie decyzję na chwilę najbliższą, usiłuje źródło swych obserwacyj: tajniki bytu narodowego poddać — obradom konferencji, komitetu czy komisji. Waloru obrad nie uznaje zaś bez — protokołów, skuteczności protokołów bez — podpisów i tak dalej w nieskończoność, aż życie pulsujące staje się — fascykułem aktów.

Rzecz dziwna! Mimo przywiązania bezgranicznego do pracy systematycznej i aktów biurowych, porządek w biurze idzie w parze nie tyle z doskonałością roboty, ile raczej z — powolnem tempem. Po żmudnem wygotowaniu aktu zdarzyć się może, iż nazajutrz — odnaleźć go nie można. Rumor i rwetes! Aż po godzinach, ale czasem i po dniach, okazuje się, że sam p. sekretarz generalny, niby uczony z „Fliegende Blätter“, w roztrzepaniu i roztargnieniu zarzucił gdzieś pismo lub pomięszał akta, nie należące do siebie: memorjał do rządu angielskiego z tabelką — płac personalu. Na szczęście, w razie nagłości, sekretarz generalny natychmiastową pracą ponowną i odtwarzaniem rzeczy usuwa niebezpieczeństwo.

Sam wszystkie szczegóły zna na pamięć. Na zapytanie co do stanu tej lub owej sprawy, z pamięci bogatej niby — chodząca registratura — wydobywa daty i fakta tak, że katastrofalnem wydaje się kontynuowanie czynności przy pomocy innego sekretarza generalnego, aniżeli — Mockina.

Pozatem nie zadowalnia się obrabianiem problemów swego „resortu“, lecz chce być reżyserem całości. Przewodniczy obradom komisyj, które w charakterze sekretarza jeneralnego powołuje do życia, przewodniczy jednak i bez uprawnienia formalnego, ale niemniej — chętnie i kiedyindziej, o ile tylko przed nim nie objął przewodnictwa kto inny.

Nie zajmuje się tylko — jak sam twierdzi — polityką Komitetu czyli — ściślej mówiąc — zabiegami dyplomatycznymi. Niemniej jednak politykę inspiruje i na bieg jej wpływa: pozytywnie przez wnioski i dopilnowanie wykonania uchwał, negatywnie przez — zwlekanie z opracowaniem memorjału lub — choćby przepisywaniem konceptu. Ta wrzekoma jednak „abstynencja“ polityczna ma swą przyczynę nie w niechęci do polityki, lub w skromności naczelnika biura, lecz raczej w dziedzinie trudności językowych. Mockin słynął ponoś w czasach gimnazjalnych, a i później nawet, gdy na uniwersytecie berlińskim wzbogacał umysł wynikami wiedzy filozoficznej, jako jeden z najlepszych młodych matematyków. Znać to i dzisiaj. Powiadają, że lingwiści nie mają zdolności matematycznych i na odwrót. Znajomość matematyki stłumiła snać w Mockinie zdolności — językowe. Mimo roku pobytu w Ameryce w roli wysłannika organizacji syonistycznej rosyjskiej, mówi po angielsku nie lepiej, jak

po roku pobytu w stolicy Francyi po — francusku. To też nikt nie przypuszczałby, że pisma, dokumenty i enuncjacje Komitetu, wychodzące w świetnej francuzczyźnie, są rezultatem nietylko jego koncepcji myślowej, ale i pracy — tłumacza. Kwestja językowa jest dlatego częściowo miarodajną przy doborze personalu biurowego, który w pierwszym rzędzie wszak rozumieć musi swego przełożonego. Dlatego też samo opanowanie języka francuskiego i angielskiego dla uzyskania posady w biurach Komitetu nie jest jeszcze dostateczną kwalifikacją.

Z świetnym zmysłem organizacyjnym sekretarz generalny dobiera sobie pracowników biurowych, których ze szczególną predylekcją szuka wśród swoich bliższych rodaków. W pierwszej chwili zadziwi obcego, wstępującego w rozległe biura Komitetu, jeśli przy maszynie spostrzeże francuską „demoiselle“, która czyto rudawym kolorem włosów, czy też szykiem mało liczącym się z modelami Paquina, odbiegać się zdaje od typu Paryżanki. Wytłumaczenie znajdzie, skoro posłyszy, jak owa „prawdziwa Paryżanka“ mówi z sekretarzem generalnym czysto po — rosyjsku.

Na zebraniach w Paryżu przemawia Mockin po hebrajsku lub po żydowsku. Mowca dużego talentu, trzyma się jednak form przestarzałych. Niemniej, a może właśnie dlatego, wywiera często silne wrażenie. Przyczynia się do tego patos jego głosu, częścią proroczy, częścią profesorski. Kunsztu oratorskiego dokazuje zwłaszcza, gdy wypada mu czasem przemawiać na zgromadzeniu jako dziesiątemu z rzędu mowcy na tensam temat. I wtenczas nawet znajdzie zawsze jakiś nowy kąt widzenia, z którego uchwyci problem. O ile mówi po żydowsku i to bez względu, czy na zebraniu Żydów rosyjskich, czy na mityngu „Ligi praw człowieka“ w towarzystwie ledwie paru magnatów izraelickich, pochodzących z Rosji, już tytuł, jakim zwykł zwracać się do publiczności, działa patetycznie i ujmująco. Zanim się puści na przestrogi i morały lub na cytaty z Jeremiasza, przykuwa uwagę rozumiejących go słuchaczy donośnem: „mane liebe Brüder!“

Pozatem ślęczy nad zadaniami Komitetu od rana do późnego wieczora. Ostatni zamyka biuro i klucz zabiera z sobą, by pierwszy mógł wejść nazajutrz. Nie zna wabików miasta, żądz i wyuzdania. Nawet z przepięknych widoków i okolic Paryża nie zna niczego, co przekracza przestrzeń, oddzielającą jego mieszkanie w hotelu Mont-Thabor od Place Édouard VII. Lasek buloński jest

dla niego mitem, a Wielką Operę „zmuszony był“ raz poznać, bo „nie mógł odmówić zaproszeniu“. Zresztą ponęty Paryża nań nie działają. Jego charakter czysty i uczciwy nie znosi kobiet paryskich, których piękność — jak mówi — nie jest rzeczą natury, lecz — chemji. Może dlatego, że zbywa mu na pokusach bulwarów i senzacjach Montmartre'u, stara się tembardziej przeżywać je w — kinach, do których ściąga chętnie znajomych, by w chwili, gdy film nie dopisze, rozprawiać o — Komitecie, uchwałach i memorjałach.

Ale duszy tej prostej i nieskorumpowanej, trzymającej się na pozór zdala od akcji politycznej, nie całkiem obcą jest, mimo wszystko, polityczna — intryga. Umie świetnie manewrować i wysuwać osoby trzecie, by przeforsować plany własne, lub dopomóc do zwycięstwa bądźto intencjom mu odpowiadającym, bądź kandydatom mu sympatycznym. A gdy go się widzi czasami idącego z biura miarowym, ociężałym krokiem, z rękami na grzbiecie lub w kieszeni, zatopionego w myślach: to kto wie, czy obmyśla treść ważnego pisma, czy małą sztuczkę z zakresu — intryg gabinetowych.

Zawsze atoli jedyną busolą jego myśli jest — idea syonistyczna, jedyną dźwignią jego czynów — sumienie.

I w Komitecie Wykonawczym występuje często z radykalizmem, nie licującym może — zdaniem niektórych — z obowiązkami „partyjnego sekretarza“, — ale usprawiedliwionym właśnie poczuciem wyższego obowiązku wobec — syonizmu i sumienia.

Dla tych też zalet jest on „intangibilis“. A gdy w „Comité des Délégations Juives“ już kilkakrotnie zmieniały się naczelne stanowiska, a krzesło prezydjalne zajmowali kolejno Mack, Marshall i Sokołow — Mockin pozostaje „der ruhende Pol in der Erscheinungen Flucht“.

Nie tylko duszę, ale i egzystencję swą skojarzył z syonizmem i jest już wprzągnięty całkowicie do rydwanu ruchu partyjnego. Z tej areny też ani nie ustąpi, ani go się — nie usunie. Narzekają na niego stale towarzysze rosyjcy i narzekając — go wysuwają. Bo krytykują wady, ale oceniają zalety, talent i zasługi. Obecnie Mockin jest sekretarzem generalnym in spe przyszłej organizacji „Waad Haarazot“, prezesem „Centrali pomocy“, a kandydować będzie zapewne w odpowiedniej chwili

i do Ścisłego Komitetu Wykonawczego wszechświatowej partji syonistycznej.

Wszystko przyjdzie po kolei. Wszyscy będą z niego niezadowoleni i wszyscy go — wybiorą.

Dr. DANIEL PASMANIK

Doktor medycyny i profesor ekonomji, uczony i agitator, demokrata myśli i arystokrata ducha, pedant i marzyciel: oto sprzeczności, jakie jednoczy Daniel Pasmanik w swojej osobie.

Sprzeczności uwydatniają się niemniej w jego postaci zewnętrznej. Smukły i wysokiego wzrostu. Ma czoło myśliciela. Frapuje dużą dozą energii, ale jego energię osłabia starożydowska dobroduszność, wyglądająca z siwych oczu i — jakby słowiańska — miękkość, rozlana na licu. Kolor twarzy budzi wspomnienie móla książkowego, a gęsty czarny zarost na głowie wraz z czarnym sumiastym wąsem zdaje się przypominać potomka Czerkiesów, szybko cwałujących po rozległych stepach krainy carów.

Znamy go oddawna z kongresów syonistycznych, gdzie występował zawsze jako pierwszy mowca opozycyjny w debacie generalnej. Mowa jego nudna i przedługa przeważnie nużyła słuchaczy, ale obmyślana głęboko i treściwie, była najcelniejszym strzałem, wymierzonym przeciw ustępującemu zarządowi i jakby przygrywką do tańca opozycji, w który w ślad za Pasmanikiem puszczali się kolejno Trietsch, Daiches i inni. Aż wreszcie wieczna rewolta ducha jego zwróciła się nietylko przeciw wodzom syonizmu, lecz także przeciw — syonizmowi.

Idea ta — uzasadniał — może dać odpowiedź na kwestję żydostwa, kwestja socjalna pozostanie nierozwiązaną. Wmyślił się w problem i stworzył teorję — poalesyonistyczną. W tym samym czasie, kiedy Kapłan-Kapłański ruch organizował, Pasmanik myśl pogłębiał. Na jednym z kongresów (zdaje się, iż w Hadze) wystąpił już jako wódz młodej, lecz obfitującej w wpływy moralne, partji poalesyonistycznej.

A potem niezadowolony z słabego postępu — myśli własnej, odbył podróż propagandystyczną. W podróży tej zawadził

o Lwów i niezapomniany jest epizod przykry, jaki wydarzył mu się podówczas w naszem mieście.

Oto kiedyśmy w ściślejszem kółku czcili obecność i zasługi miłego gościa, jakiś intruz niepożądany zabrał z jego pokoju hotelowego torbę na akta wraz z wszystkimi dokumentami, wśród których znajdowało się także teoretyczne uzasadnienie poalesyonizmu. W niedługi czas potem Pasmanik, niezadowolony z innych, z siebie i z — poalesyonizmu, przesunął się ponownie ku „nagiemu syonizmowi", pozostawiając w dziedzinie przez się utorowanej Kapłańskiego bez współzawodnictwa.

Jest to niezawodnie interesujący psychicznie jakby ibsenowski typ człowieka, który własnemi rękoma łamie dzieło własne i porzuca płód swego ducha. Oczywiście dowcipnisie ukuli żarty na temat tej ostatniej metamorfozy ideowej Pasmanika, łącząc ją właśnie z epizodem lwowskim. Oto Pasmanik musiał stać się ex-poalesyonistą, gdyż mu skradziono — teorję.

Odtąd siedzi aż po bród w syoniźmie i jak zwyczajnie — niezadowolony.

W czasie wojny zmuszony był zaciągnąć się w szeregi, jako lekarz pułkowy, a potem w tym charakterze został „przejęty" przez armję Kołczaka i Denikina. Zbliżył się do tych dwóch mężów, zaprzyjaźnił się z nimi, a w „Comité des Délégations Juives", dokąd został wydelegowany jako reprezentant gmin żydowskich Krymu, rozpoczął swoje czynności od peanów na cześć liberalizmu i postępowości wspomnianych wodzów, ziejąc równocześnie ogniem nienawiści przeciw bolszewizmowi. I nie było posiedzenia Delegacyj, w którem Pasmanik nie zakończyłby dyskusji bez względu, jakiego dotyczyła tematu — swojem „ceterum censeo": chcecie bronić praw żydowskich, a tymczasem tysiące Żydów codzień padają dosłownie trupem od noży zbójeckich, oświetlonych pochodnią kultury — bolszewickiej.

Początkowo usiłował politykę Komitetu nagiąć w kierunku świadomego popierania Kołczaka, którego akcję militarną przeciw nieprzebierającej w okrucieństwach armji Trockiego kreślił jako podbój cywilizacyjny. Względy dyplomatyczne dyktowały oczywiście Komitetowi zasadę: niemięszania się w walki strategiczno-terytorjalne. Wtenczas Pasmanik z namiętnością, która go cechuje, a za którą w tym wypadku nie kryło się oczywiście nic innego, jeno żądło patrjotyzmu żydowskiego, odkrywał w szcze-

gółach, rzeczowo zebranych, barbarzyństwa, dokonywane wobec Żydów na Ukrainie. Przemówienia jego były jakby echem mas bitych i żywcem wrzucanych do grobu; echem tem spowodował — i to jest nieocenioną zasługą jego działalności w Komitecie paryskim — że Komitet oficjalnie zaczął wydobywać na światło dzienne to, co pod wpływem chaosu i zaciemnienia stosunków mogło pozostać przez długie lata w ukryciu.

W biuletynach Komitetu ogłosił na temat pogromów ukraińskich pierwszy artykuł, który przy pomocy dat rzeczowych piętnuje bojowników Wschodu kainowym stygmatem pogromczyków i który w całości czyta się jakby junacka odezwa do walki przeciw — pogromcom żydostwa. Artykuł ten był też pobudką dla znacznej części prasy francuskiej i zagranicznej do przyglądnięcia się doli Żydów i rzucenia snopu światła na ropiącą ranę żydowską w krajach, w których bezustanny szczęk oręża zagłuszyć się zdawał jęki nieszczęśliwych.

Wysiłki podjęte w kierunku zdemaskowania zezwierzęconych żołdaków o licach bohaterów wolności, kontynuował też i bezpośrednio, umieszczając szereg artykułów w pismach lewicowych, między innemi w piśmie Burcewa, oraz odbywając konferencję z wybitnymi politykami francuskimi z obozu demokratycznego, z którymi z czasów dawniejszych utrzymywał stosunki zadzierżgnięte na tle wspólnej pracy naukowej, czy socjalnej.

Z wszystkiego, co pisze, mówi i czyni, znać, że Pasmanik w życiu wiele widział i wiele się uczył, ale że nie zawsze umie tego, co widział, słyszał i wchłaniał w siebie, pogodzić z tem, co się dzieje w rzeczywistości.

Owocem jego twórczości literacko-publicystycznej w syoniźmie są broszurki i rozprawki w językach rosyjskim, niemieckim i francuskim. Niektóre z nich zajmują się pozytywną stroną syonizmu; wśród nich „teleologja w historji Żydostwa", wykazując szczytność zasad syonizmu, dochodzi do konsekwencji, iż mimo wszystko realizacja ewangelji syonizmu nie będzie dla Żydów talizmanem szczęścia. Inne znów — najlepsza z nich pod tytułem : „siedm kłamstw żydostwa" — godzą niemiłosiernie w kuglarstwo asymilacyjne, zaćmiewające gwiazdę swobody narodowej.

Wszystkie atoli ślady jego działalności wypływają z jednego i tego samego źródła. Jest niem żar miłości do narodu żydow-

skiego i chęć zadania ciosu staremu porządkowi rzeczy, choćby ten „stary porządek“ był jeszcze — istniejący.

Przemawia nieco za sucho, tu i ówdzie jąkając się i dlatego też nie jest mowcą ludowym. Głębokością ujęcia tematu tem silniejsze robi zato wrażenie w kołach inteligencji, ale tu znów temperamentem i ostrzem, zwyczajnie zwróconem przeciw tej czy owej osobie czy instytucji, czyni właśnie wrażenie, jakoby mowa była przeznaczona dla warstw szerszych. Nadto, analizując kwestję, nie dochodzi nigdy do absolutnego: „tak“ albo „nie“. W głębi duszy własnej znajduje widocznie zbyt ścierające się z sobą uczucia i w krużgankach mózgu na zbyt różne napotyka myśli, by stanowczo za decyzją: tędy lub owędy — zdołał się oświadczyć. Więc teoretycznemu „nie“ przeciwstawia realne „tak“, pozytywny nakaz oportunizmu komplikuje przez negację z zasady.

Ostatecznej konkluzji broni z zacietrzewieniem, omal że z budzącą podziw zaciekłością.

Rzadziej z długotrwałą — konsekwencją.

Owszem! Umie szanować przekonania drugich i wysłuchuje je z imponującą cierpliwością, by później tem ostrzej je — zwalczać. Ale szanuje przedewszystkiem przekonania własne, zatem i każdoczesną — zmianę przekonań w sobie samym. Tem się tłumaczy, iż dziś powołać pragnie do życia, co wczoraj sam uśmiercił, lub na odwrót jutro zwalczać będzie to, co dziś obwołuje szczytem marzeń. I tem też tłumaczy się obecna jego, tak stanowcza, opozycja przeciwko wszelakiego kolorytu radykalistom, odbiegającym od przeciętnego, umiłowanego już wszak i przez „sytą burżuazję“, typu socjalnego demokraty.

Jak bezwzględnie szczery jest i prawdomowny w życiu publicznem, tak jest bezceremonjalnie szczery i otwarty także w obcowaniu prywatnem. W czasie pobytu Brandeisa w Paryżu zapytał go „prosto z mostu“, czy chciałby stanąć na czele wszechświatowej organizacji, co obecne sfery rządzące wielce mu brały za złe. Przy bankiecie z okazji 70-letniego jubileuszu Nordaua wygłosił toast, pełen uniesień nad myślą: gdyby to nasz mistrz stary o głowie patrjarchy mógł zostać prezesem — Republiki judejskiej, co zgorszyło wielu uczestników, sądzących, iż działaczowi politycznemu nie wolno w ten sposób wynurzać się, choćby w mowach — bankietowych.

Ale bo też Pasmanik bynajmniej nie ma pretensji do miana polityka. Możliwość, iż „myśl duszy, język myśli kłamie“, w jego pojęciu jest największą herezją. Co myśli, ubiera w słowa, a słowa bez ogródek wypowiada.

Przed laty jeszcze blisko 20, jako młody docent uniwersytetu genewskiego, obrał sobie lekarkę żydowską z Rosji na towarzyszkę życia. Przywykły do — niezadowolenia, mało zaznał zadowolenia i z powyższego wyboru, a okoliczność ta, która zmusiła go zresztą do ponownego „kawalerstwa“, zaważyła niewątpliwie w kształtowaniu dalszem jego charakteru i zaciążyła nad chmurami jego życia. Przybity widocznie tragizmem własnego losu, napisał mi swego czasu, w odpowiedzi na moje zawiadomienie ślubne, list, którego treścią było zdziwienie, iż mogłem popełnić tak szalony krok, jak — małżeństwo, które wszak nigdy prawie nie uszczęśliwia.

Ta dziwnie oryginalna gratulacja poślubna świadczy znowu o jednostronności i zaślepieniu naszego przyjaciela, jak z drugiej strony o nieznającej wahań kompromisowych duszy jego, tak bogatej i zróżniczkowanej co do treści, a tak prostej co do formy.

Wzruszającą w swej prostocie jest też pieczołowitość i — donżuanerja, jaką obdarza swoją — córeczkę, z którą złączył się obecnie w Paryżu po 6-letniej rozłące. Zostawił ją dzieckiem jedenastoletniem, teraz przywitał w niej uroczą 17-letnią pannę.

Przyzwyczajony do samotnego ślęczenia w bibljotekach nad foljałami archiwalnymi i do samotności — ogniska domowego, obchodzi się z swoją córką, jakby z damą serca, z rewerencją całuje ją w rękę, prowadzi pod ramię i z zachwytem zakochanego młodzieńca przysłuchuje się jej grze artystycznej na fortepianie.

Gdy w „Comité des Délégations Juives“ uważał zadanie swoje w znacznej mierze za załatwione, przeniósł się z polecenia Komitetu Wykonawczego stronnictwa syonistycznego do Londynu, gdzie w biurach Centrali objął kierownictwo resortu organizacyjnego dla południowej Rosji. W tej roli miał na nowo prowincje, jakby oderwane od reszty świata i zamknięte przed naporem syonizmu, pozyskać dla propagandy i wynajdywać drogi, kędy mianoby na nowo otworzyć wentyl dla prądów ruchu syonistycznego.

Po upływie ledwie trzech miesięcy wrócił do Paryża. Częściowo dlatego, iż w pracy londyńskiej nie znalazł — zadowolenia, częściowo, by córce umożliwić dalsze kształcenie się artystyczne w warunkach, sprzyjających raczej w świetlistej stolicy nadsekwańskiej, aniżeli w pochmurnej „city“ nad Tamizą.

Czynność jego w Komitecie paryskim jest znowu przeważnie natury publicystycznej. Pozatem atoli wygłasza serję wykładów w „Salle des Sociétés Savantes“ dla inteligencji, gdzie na tle krótkich, lecz gruntownych obserwacyj londyńskich omawia widoki i znaczenie sprawy palestyńskiej i doniosłość traktatu z Anglją. I na przemian swoim zwyczajem chwali rozwagę i umiarkowanie naszych zastępców i gani ich — skromność dyplomatyczną i zadowalanie się małymi sukcesami; wielbi korzyści traktatu i coraz to nowe wynajduje — luki, wykazuje, że należy się cieszyć z uzyskanych zdobyczy i potwierdza, że jest — niezadowolony.

Na szczęście niezadowolenie to nie jest destruktywne, lecz twórcze. Nie osłabia ono ni energji jego własnej, ni tych, których krytykuje, lecz raczej ją wzmacnia. I może na podłożu takiego „niezadowolenia“ wyrosną przecież kiedyś owoce, które i Pasmanik pragnąłby zatrzymać faustowskiem: „zostań!“ i na których widok może sobie samemu i innym się zwierzy, iż raz nareszcie jest — zadowolony.

Dr. JAKÓB ROSENBAUM

W odróżnieniu od państw innych, wskrzeszonych obecnie ku swobodzie politycznej, a reprezentowanych przeważnie przez siły młodsze, lub co najwyżej w kwiecie wieku będące: Litwę, rwącą się z grobu zapomnienia ku samodzielności państwowej, reprezentował całkowicie, a teraz reprezentuje nadal, acz tylko faktycznie — starzec. Starzec nietyle z lat, ile — z wyglądu. Ale niemniej młody — śmiałością inicjatywy i dążeń. Któżby odgadł na pierwsze wejrzenie, że ten mały, chudy człowieczek o skulonej i niskiej postaci, o rękach z palcami wychudłymi jak u kościotrupa, czyniący wrażenie omal że zgrzybiałego staruszka, nie więcej jak 6 kresek z naddatkiem dźwiga na swoich barkach?! I któżby po licu zapadłem, okolonem siwym zarostem, o oczach ponuro wyzierających z za złotych szkieł, poznał, że gdy z twarzy bije anemja i osłabienie, z duszy tryska zapał i energja?!

Z zawodu adwokat, z zajęcia — polityk. W roli pierwszej wyrobił sobie sławę wytrawnego jurysty i świetnego obrońcy. W roli drugiej wybił się na czoło syonizmu rosyjskiego, którego syonizm litewski był odgałęzieniem. Jako delegat organizacji syonistycznej w Rosji zasiadał w Wielkim Komitecie Wykonawczym, będąc filarem obozu radykalnego z pod znaku Usyszkina. Kiedy projekt Ugandy rozkołysał umysły i szturm wywołał w łonie stronnictwa, Dr. Jakób Rosenbaum był jednym z chorążych, którzy słynną „konferencją“ w Charkowie podnieśli pożogę buntu. Następnie podjął się zaszczytnej w swoim rodzaju i odpowiedzialnej, ale zarazem ciężkiej i — ryzykownej misji przedstawienia Herzlowi w Wiedniu „warunków“ charkowskich. Do wywiązania się z zadania nie doszło. Herzl odmówił przyjęcia wysłannikowi „skonfederowanych“. Odtąd rozłam między nim a wodzem naczelnym ruchu światowego trwał już do końca. Gdy między Herzlem a Usyszkinem pozornie przynajmniej doszło jeszcze do

porozumienia i współpracy, między tym pierwszym a Rosenbaumem ledwie formalne nastąpiło pojednanie. Nie wiem, czy Rosenbaum żałuje ówczesnego porywu „rewolucyjnego“, będącego wykładnikiem ogólnego wrzenia w syoniźmie, a wyrazem niezłomności jego poglądów partyjnych. Z żalem jednakże wspomina on o owym epizodzie, podyktowanym koniecznością rozjaśnienia — pośród manowców ugandyjskich — drogi, prostym szlakiem wiodącej do Syonu.

Rozgłos, jaki uzyskał na podstawie sukcesów adwokackich w Wilnie, oraz uczciwość i ciągłość jego pracy publicznej na arenie żydowskiej, zjednały mu powszechną sympatję wśród szerokich warstw ludności. Kiedy carat pozornie ukorzył się przed szturmem opozycji i w pierwszej Dumie tworzył złudny fantom konstytucji, mieszkańcy Wilna obdarzyli Rosenbauma mandatem posła do Dumy. Tu zabłysnął odrazu swem fachowem znawstwem przy tworzeniu ustaw. Następnie z okazji nieszczęścia żydowskiego w Kiszyniewie, które poraz pierwszy echem pogromów odbiło się w świecie cywilizowanym, reprezentant żydowski skalpelem krytyki jadowitej z trybuny parlamentarnej rozcinał bezwzględnie — nie zważając na to, że naraża się na zemstę cara i czynownictwa rosyjskiego — wrzód biurokratycznej tyranji i korupcji w państwie. Zemsta go nie minęła.

Duma została rozwiązana, a z nią Rosenbaum wraz z innymi towarzyszami, m. i. też posłem Katzenelsonem, prezesem żydowskiego Banku kolonjalnego, pod pretekstem zdrady stanu, popełnionej wrzekomo protestem przeciw rozpędzeniu posłów, wtrącony został do więzienia. Prześladowania te Rosenbauma nie pokonały, tendencjom i szeregom opozycyjnym do ostatka się nie sprzeniewierzył.

Po wybuchu wojny i zajęciu Wilna przez Niemców, Rosenbaum zniewolony był nadto często występywać w obronie ludności, dotkniętej zarządzeniami brutalnych okupantów i jako protektor maluczkich zjednał sobie serca wszystkich cierpiących. Równocześnie atoli zwrócił przeciw sobie nienawiść prowizorycznych władców. Nienawiść, szukająca ujścia w planach internowania groźnego „przeciwnika“, musiała wszelako liczyć się z jego popularnością i utratą resztek moralnego prestige'u na wypadek naruszenia tejże popularności. Rozum polityczny odniósł w danym wypadku zwycięstwo nad instynktem barbarzyństwa. Niemcy,

zamiast Rosenbauma zgnębić, woleli z nim — się układać. Kiedy zamilkł wreszcie szczęk oręża, a kraje wyswobodzone z pod jarzma obcych, poczęły dobijać się niepodległości, nasz przyjaciel obdarzony portfelem ministra spraw zagranicznych, wysłany został do siedziby Kongresu pokojowego dla strzeżenia praw Litwy. Zarazem, jako reprezentant Rady Narodowej żydowskiej na Litwie wszedł w skład „Comité des Délégations Juivés".

Słabowity i wątłego zdrowia opłaca niestety zazwyczaj trudy podróży krótszą lub dłuższą chorobą i weszło to już jakby w zwyczaj, iż prologiem jego czynności po osiągnięciu mety jest — kuracja szpitalna. Zaledwie jednak jako tako pokrzepi tylko nadwerężone siły, a już z rozwiniętymi żaglami i wytrzymałością świadomego celu sternika puszcza się na rwące fale wszczynań politycznych.

I teraz pierwsze dni pobytu w Paryżu spędził w szpitalu, przykuty do łoża. Ale ledwie zdołał się z łoża podźwignąć, z farysowskim rozpędem starał się opanować bieg poruczonych mu spraw publicznych. Aktywność jego ówczesną w roli ministra litewskiego scharakteryzował najlepiej okolicznościowo podczas rozmowy pewien wybitny dyplomata francuski. Bawiły u nas — w tym sensie wywodził tonem pełnym podziwu — delegacje litewskie już z pierwszym brzaskiem słońca pokoju, ale echa ich bytności nie wydostały się poza podwoje ich komnat. Kręcili się widocznie ci reprezentanci po bulwarach, nie wiedząc kędy i jak zacząć. Dopiero z przyjazdem „tego małego Żydka" („ce tout petit juif") wszystko się zmieniło i, jakby tknięte prądem elektrycznym, myśli świata dyplomatycznego zwracać się musiały często w stronę Litwy. Ciągle mieliśmy wizyty — „tych z Litwy"; telefony były wiecznie w ruchu, alarmowane wiadomościami, czy postulatami Litwy, urzędy zasypane były memorjałami, a gazety przepełnione interwiewami litewskiemi. Tak nas ci nowi „misjonarze wschodni", bezustannie uświadamiali i — niepokoili. A to wszystko sprawił ten niepokaźny na zewnątrz dyplomata żydowski.

Z tą samą gorliwością pełnił Rosenbaum zadanie swe w „Komitecie Delegacyj Żydowskich", służąc w szczególności przy układaniu i kodyfikowaniu dezyderatów żydowskich zarówno wiedzą prawniczą, jak wyrobieniem politycznem. Na karb też jego walnej zasługi należy zapisać, że rząd litewski wraz z reprezen-

tacją narodu samorzutnie uznały prawa narodowe mniejszości żydowskiej. Na podstawie pertraktacyj z kierownictwem „Comité des Délégations“ — podobnie jak to uczynił Benesz imieniem republiki czecho-słowackiej — w liście wystosowanym do Komitetu zobowiązały się owe miarodajne czynniki uszanować w całej pełni i uczynić przedmiotem konstytucji postulaty Żydów, o które boje zażarte równocześnie staczać musiano z przedstawicielami — Rumunji i państw innych.

Ostatnio spotkałem go w stolicy Francji we wrześniu ubiegłego roku. Nie dzierży więcej teki ministra. Niemniej, jako prezes Rady Narodowej żydowskiej, wywiera wpływ — acz w ograniczonym kierunku — na wykonywanie władzy rządowej, ponieważ wedle umowy, przyjętej przez ministra dla spraw żydowskich Dra Sołowiejczyka, projekty dotyczące Żydów, wymagają „placet“ naczelnika Rady, zanim przybiorą szaty ustawowej ważności. Pozatem, jako członek Taryby, poruczone ma zadanie opracowania konstytycji, a nadto powoływany bywa od czasu do czasu do pełnienia misyj specjalnych.

Wygląd jego uderzył mnie tym razem szczególnie przykro. Twarz blada i wycieńczona, organ ochrypły i dziwnie piskliwy. Rosenbaum wytłumaczył mi odrazu przyczynę tego smutnego stanu. Oto dopiero dwa dni temu, jak opuścił — szpital. Już przy wyjeździe z Wilna zaniemógł i zniewolony był wysiąść w Berlinie, by zasięgnąć konsultacji profesora. Ten radził przedsięwziąć najprzód operację gardła, a następnie radykalną kurację. Ale rady profesora przypominały rachunek — „bez gospodarza“. Na rzecz pierwszą Dr. Rosenbaum nie ma cierpliwości, na drugą — niema czasu. Więc dobił na raz do brzegów Sekwany i tu, na swój znany sposób, zadowolił się — szpitalem. Wszystko inne byłoby zbytkiem, tembardziej iż znajdował się w przejeździe. Wybierał się do Ameryki dla celów propagandy na rzecz państwa, które kocha. Zarówno wiernością obywatela, jak przywiązaniem — Żyda. Z tego drugiego tytułu na mocy prawa wzajemności, gdyż państwo z miłością i szacunkiem traktuje Żydów.

Wyraziłem obawę, czy przy steranem zdrowiu, a zwłaszcza przy organie tak nieprzyjemnie syczącym chrypką, zdoła propagować swoje tendencje.

Skrupuły moje rozwiał doszczętnie. Nie jestem — argumentował — dyplomatą z powołania, ani z zamiłowania, jeno z zrzą-

dzenia losu i poczucia obowiązku obywatelskiego a może i — żydowskiego. Dlategoteż zbroją moją nie są sztuczki dyplomatyczne i nie mam potrzeby nastrajać głosu na efektowną nutę. Nie sugeruję niczego swoim interlokutorom. Chcę w nich budzić wiarę jeno dla rzeczy, mających odzwierciedlenie wiary w najgłębszych czeluściach mej duszy własnej. I gdy nie dopisze głos fizyczny, przekona głos serca i sumienia.

Przekonał mnie i nie wątpię, że misja mu się powiedzie.

Gdy przebywający również podówczas w „metropoli świata“ rodacy jego i koledzy z Stulgajtisem, leaderem stronnictwa chrześcijańsko-socjalnego na czele, podążyli do Rzymu, Rosenbaum z niecierpliwością wyczekiwał jeszcze parowca, by odpłynąć na drugą stronę Oceanu. Od owego czasu nic o nim nie słychać! Niezawodnie zmęczony wyprawą ciężką w rezydencji „bussiness'u“ i — 14 punktów Wilsona, — prastarym zwyczajem — szuka przymusowego wypoczynku — w szpitalu.

Ale niezadługo zapewne, a będą w oblężeniu „Biały Dom“ w Waszyngtonie i pałace senatorów i biura posłów. Dyplomata żydowsko-litewski rozwinie swoją propagandę, a nie mając czasu na poddanie się operacji organu głosowego, operować będzie „głosem serca“...

Byleby tylko serce długo jeszcze dotrzymywało mu posłuszeństwa!

NACHUM SOKOŁOW

Gdyby nie sześćdziesięciolecie urodzin, jakie święciliśmy ubiegłej wiosny, możnaby go posądzić ledwie o pięćdziesiątkę. Taki jeszcze rzeźki, elastyczny i — młody. Nietylko wyglądem, ale i — strojem.

Nieco więcej niż średniej tuszy, o czole wysokiem, o ciemnoblond bródce, wedle przepisów high-life wygolony i ufryzowany. Dobrze skrojony tużurek, z którego kieszonki wystaje rąbek chusteczki, harmonizującej z kolorem krawatki; na jedwabnym, czarnym sznurku zawieszony monokl, a jasne „dyplomatyczne" kamasze oddzielają fałd pięknie przyprasowanych spodni od bucików „dernier chic".

Tak tedy wejrzeniem i elegancją przypomina odrazu dyplomatę. A znamionują dyplomatę i cechy inne. Nadewszystko dyplomatyczny spokój, rozwaga i — powolność. Tę ostatnią nazywa on sam — przezornością. Ostrzega zawsze przed pośpiesznem działaniem, które — „oby się źle nie skończyło" Przysłowie: „Lepiej późno, jak nigdy" zastępuje tendencją: „Lepiej późno, jak źle", Przeciwnicy zaś jego podsuwają mu tendencję: „Lepiej późno, jak wcześnie".

W istocie temi swemi zaletami dobił się Sokołow znaczenia i uznania w wszystkich kołach światowej dyplomacji. W odróżnieniu od naszych pierwszych dyplomatów, jak Herzl i Nordau, lub naszych zastępców amerykańskich, jak Brandeis i Marshall, których droga u zarania ich pracy na niwie żydowskiej wyścielona była bądź to kwiatami literatury europejskiej, bądź to laurami polityki amerykańskiej, Sokołow drogę dyplomacji żydowskiej torował sobie od samego początku jedynie i wyłącznie jako działacz i polityk żydowski. Swą działalność publiczną rozpoczął służbą na ołtarzu żydostwa. Tą służbą doszedł do wpływów i zasług. Niema prawie kwestji na terenie międzynarodowym, doty-

kającej żydostwa, w której nie zasięganoby jego zdania. Z opinją jego liczy się zarówno Tardieu jak Lloyd George, Polk jak Nitti, Venizelos jak Benesz. Sam zaś jest on także dla wszystkich dyplomatów równie uprzejmy, a skoro poprosił Balfoura o napisanie przedmowy do angielskiego wydania dzieła: „History of Zinism“, to dla wydania francuskiego postarał się naturalnie o przedmowę Pichona.

Co go różni od dyplomatów, to awersja do biurokratyzmu i „kawałków“, do regulaminów służbowych i „urzędowego“ załatwiania „spraw“. Trwogą przejmują go szeregi urzędników, wypełniających biura nasze w Londynie i stale narzeka, że rozrost tego „Zionist office“ nie idzie w parze z rozwojem organizacji i przekracza znacznie potrzeby ruchu.

Ten „horror magistraticus“ znajduje swe źródło niezawodnie w okoliczności, że przez szereg lat w partji był sam przedewszystkiem urzędnikiem. Na pierwszym kongresie bazylejskim jeszcze zasiadał na ławie dziennikarskiej w roli naczelnego redaktora „Hacefiry“ i krytycznie omawiał sprawę syońską i uchwały kongresu. Od chwili, gdy wstąpił do organizacji, począł wyciskać piętno ducha swego na ukształtowanie się życia syonistycznego, w szczególności jako jeden z głównych propagatorów kultury hebrajskiej. Na kongresie hamburskim wbrew woli niechętnych zgłosił i przeforsował wniosek, deklarujący język hebrajski jako język urzędowy organizacji. Za kierownictwa Wolffsohna objął po przeniesieniu się do Kolonii, naczelną redakcję „Welt“, tudzież generalny sekretarjat stronnictwa. Od tego czasu stał się duszą ruchu. Towarzyszył Wolffsohnowi w podróżach dyplomatycznych, wraz z nim urabiał politykę syonistyczną i za niego — w obcych językach — przemawiał. I odtąd też między nim a Wolffsohnem zaczynają się — nieporozumienia. Wolffsohn, któremu dogmatem rozwoju syonizmu była sprężysta organizacja i dobre urzędowanie, uznawał w Sokołowie przedewszystkiem naczelnego urzędnika organizacji, a traktował go, niby swego pierwszego adjutanta. Ten zaś zarzucał swemu „przełożonemu“ niedocenianie imponderabiliów ruchu i brak zrozumienia dla problemów kulturalnych. Nieporozumienia urosły do rozmiarów konfliktu, a konflikt stał się powodem, iż sekretarz generalny brał udział w planowanym ex re kongresu hamburskiego, zamachu „stanu“ przeciw prezesowi organizacyi. Ten „za-

mach stanu“ podówczas nie udał się całkowicie, ale gdy na kongresie wiedeńskim utworzono rodzaj dyrektorjum z 7 członków, Sokołow wybrany został do Ścisłego Komitetu Wykonawczego, gdzie znowu wespół z Schmarjahu Lewinem stanął na straży rozwoju kultury żydowskiej w duchu syońskim.

Po wybuchu wojny z polecenia Ścisłego Komitetu Wykonawczego (E. A. C.) wyjechał do Londynu. Tutaj wespół z Weizmannem — acz nie zawsze z nim w zgodzie — ujął w swe ręce arkana „gabinetowej“ polityki żydowskiej; po otwarciu zaś Konferencji pokojowej przeniósł się do „metropoli świata“, by na miejscu, gdzie decydować się mają losy narodów i krajów, a zatem i żydostwa i Palestyny, być oficjalnym reprezentantem żydostwa i rzecznikiem sprawy syonistycznej.

Z biura Sokołowa przy Place Édouard VII. wychodzą na arenę polityki międzynarodowej i przed sąd areopagu świata wyrazy tęsknoty narodu żydowskiego w formie skodyfikowanych postulatów i memorjałów. Przesuwały się przez biuro wybitne postacie świata politycznego, a w szczególności znakomite osobistości świata żydowskiego, przyjmowane przez gospodarza z wyszukaną grzecznością i iście dyplomatycznym kunsztem.

Mistrzem zwłaszcza jest Sokołow w witaniu i żegnaniu „wielkich mężów“. Dla każdego z nich znajduje odpowiednie słowo w odpowiedniej chwili. Tak od czasu, gdy po ukonstytuowaniu się „Comité des Délégations Juives“ objął przewodnictwo komisji politycznej. po wyjeździe zaś Marshalla — prezesurę Komitetu, witał wszystkich nowo przybyłych członków, a żegnał Macka i Marshalla; witał i żegnał to Brandeisa to Samuelsa.

Autorytet, jaki swą działalnością umiał sobie zaskarbić, zjednał mu serca mas żydowskich, ale także przysporzył mu licznych przeciwników. Zwalczają go niektórzy zasadniczo dla jego „polityki tajnej“ i „konszachtów z rządami“, inni dla splendoru, jaki go otacza w wykwintnych apartamentach hotelu Meurice, lub dla auta, jakie mu z ramienia partji stoi do dyspozycji. Opozycję tę przyjmuje z naturalnym, czasem jednak ledwie utrzymanym spokojem. Od czasu do czasu odezwie się na mityngu i wtedy zwyczajnie następuje obrachunek generalny z przeciwnikami. A i w normalnej dyskusji często świetnie się odcina i wywołuje salwy śmiechu, gdy zarzuty przeciwników, wytykających błędy i udzielających rad, jakto należałoby „urabiać prasę“, albo „pak-

tować z Anglią", odpiera zwrotem: „I ja coś niecoś wiem o prasie, i ja już kiedyś w życiu mówiłem z Anglikami" — i w ten sposób ośmiesza i rozbraja oponentów. Celuje zdumiewającą pamięcią. Co jednak najbardziej cechuje w nim dyplomatę, to szczególny talent językowy i opanowanie aż 8. języków w równej mierze, w słowie i piśmie, aż do stopnia doskonałości. Jego mieszkanie w hotelu Meurice, gdzie go zastać można zwyczajnie popołudniu, jest istną wieżą Babel ze względu na mnogość i różnorodność języków, w jakich przemawiają osoby odwiedzające szefa delegacji żydowskiej, który odpowiada w języku, w jakim się doń przemówi. Nie odpowie tylko tak rychło po niemiecku oczywiście — z przezorności. A gdy czasem zebrane jest grono Żydów z krajów różnojęzycznych, a należy mówić by zrozumieli wszyscy, natenczas ratuje sytuację środkiem „dyplomatycznym" i mówi w „języku mniejszości", po żydowsku. Wieczorem zaś — o ile nie siedzi wyfraczony w loży Wielkiej Opery, albo w smokingu i białym gorsecie z brylantowemi spineczkami przy „diner" dyplomatycznem, pozostaje najchętniej w domu, by w gronie rodziny i przyjaciół snuć wspomnienia i opowiadać baje, jakto było za Herzla i za Wolffsohna i w pierwszych latach wojny i — jakto będzie później.

Biada służącemu, gdyby zapomniał przynieść mu po kolacji kawę, zarówno niezbędną, jak obecność panny Celiny, na szczęście — jego własnej córki, która nawet, gdy jej siostry i matka się rozjeżdzają, ma misję towarzyszenia ojcu i przyjmowania gości i istotnie z nadzwyczajną finezją misję tę spełnia. W nagrodę za tę wierność prowadzi ją ojciec od czasu do czasu — często też w towarzystwie „domowych gości" — poprzez dziwne zaułki getta paryskiego w okolice „rue du vieux Temple", gdzie nad maleńkim lokalikiem uderza szyld z hebrajskim napisem: koszer. Tam odzywa się u niego atawizm. Raduje się jego serce już na widok swojskiego „garsona", polecającego rodzime „menu", a cała dyplomacja koncentruje się w tem, czy wybrać „gęsinę", czy „nadziewaną szyjkę". Wybór jednak nie zawsze możliwy. Potajemnie bowiem i incognito — jak głosi fama — wkradają się do tej „orjentalnej" restauracji — zwłaszcza w dni sobotnie — także dyplomaci innych narodów i zjadają co najlepsze, by w ten sposób poznać — praktycznie — właściwości „grupy etnicznej, różniącej się rasą, językiem i religią".

Dr. OZJASZ THON

Mądry człowiek. Jakiekolwiek hymny pochwalne piać będą na jego cześć wielbiciele i jakiekolwiek przeciw niemu zarzuty wytaczać będą przeciwnicy, w tem jednem zgodne będą peany i krytyki, że ma — „głowę na karku“. Dużą — przepojoną rozumem — głowę na krótkim karku. Pozatem dobrej tuszy i małego wzrostu, o dość pokaźnej czarnej bródce, o oczach wyzierających przebiegle z poza szerokich okularów, o wysokiem myślącem czole, zakończonem imponującą tonzurą.

Znamy go od najwcześniejszych lat młodości. Oczywiście — naszej młodości. Sam bowiem, aczkolwiek jeszcze nie ukończył pięćdziesiątki, należy do najstarszej gwardji syonizmu światowego. Jeszcze z początkiem lat 90-tych, gdy horyzont żydostwa galicyjskiego, zasłany był gęstą mgłą fanatyzmu, a ciemności egipskie przeszywały tylko błędne ogniki asymilacyi, Thon — obok Standa i Zippera, Korkisa i Malza — należał do plejady idealistów, którzy widnokrąg ponurej teraźniejszości żydowskiej oświetlali pierwszymi promykami idei syonistycznej, A odtąd po dzień dzisiejszy jest nam nauczycielem i mistrzem. Nauczycielem w pojmowaniu i pogłębianiu teorji syonizmu, mistrzem w sztuce naginania do poglądu syonistycznego twardych warunków życia codziennego.

Na wszechnicy berlińskiej kształcony na wzorach myślicieli i filozofów niemieckich, przyswoił sobie ścisłość w myśleniu i oryginalność w wyrażaniu myśli. Zalety te znamionują szereg napisanych przez niego w języku hebrajskim rozpraw z zakresu filozofji, w szczególności znakomite essay o Spinozie. Temi próbami literackiemi utrwalił sobie też odrazu stanowisko zarówno w szeregu uczonych, jak i w rzędzie najlepszych stylistów — hebrajskich. I tasama ścisłość i oryginalność uderza we wszystkiem, co mówi i pisze o syoniźmie.

W stronnictwie syonistycznem, zarówno wśród naczelnych kół kierujących, jak i na kongresach i konferencjach, zajmował wybitne stanowisko głównie dla rzeczowości i roztropności, z jaką traktował sprawy. Raz tylko jeden uderzył w strunę silniejszą i z namiętnością bojownika zaangażował się w walce. Była to oczywiście walka ideowa, a mianowicie między dwiema najwybitniejszemi postaciami współczesnego żydostwa. Achad-Haam skalpelem krytyki gryzącej zdruzgotać usiłował „dyplomację“ Herzla; w obronie wielkiego wodza stanął jego współpracownik i druh serdeczny, Nordau. Przeciw pisarzowi europejskiej sławy, a w obronie giganta literatury hebrajskiej, ruszył w szranki Ozjasz Thon. Rzucał pociski z taką celnością i zjadliwością, że jeszcze w parę lat potem zasłużony nestor syonizmu z żalem wspominał raz o ówezesnym ataku Thona, o jego argumentacji i — „impertynencji“. Zato zrekompenzował później Thon to swoje ostre wystąpienie tonem pojednawczym w kierunku przeciwnym. Szło tym razem o następcę Herzla, Wolffsohna. Na kongresie hamburskim kampania antiwolffsohnowska dosięgła punktu kulminacyjnego. Rzucili Wolffsohnowi rękawicę syoniści krajów wschodnich, tuliła go pod swe skrzydła opiekuńcze organizacja niemiecka pod protektoratem Nordaua i Marmorka, Kanna i Fischera. Thon z swoją swadą i swoim autorytetem przyszedł na odsiecz tym ostatnim przeciw Usyszkinowi i jego trabantom. A gdy Wolffsohn ustępował, ułożył on i przedstawił do przyjęcia rezolucję dziękczynną za to, iż „Wolffsohn spadek po Herzlu nietylko utrzymał, lecz także pomnożył“. Zachwycali się wówczas „zachodni“ jego objektywnością i rzeczowością, potępiali go w duchu tamci dla — chwiejności i niekonsekwencji. Ale bądź co bądź w tem wszystkiem, co czynił, znać było rozmach logiki i pazury indywidualności.

I w partji galicyjskiej bywały czasem — nieporozumienia. Zdarzało się nieraz, iż kierownictwo partji wydawało rozkazy dla wszystkich towarzyszy i towarzystw w Galicji, a on wydawał rozkazy — własne. Ale w wszystkich tych wypadkach później nas przekonywał i rozbrajał swoją zdrową argumentacją, okraszoną żywym humorem, tak, że w końcu omal żałować wypadało, żeśmy czasem nie szli — za nim. I dalej był nam w współpracy miłym i wpływowym przywódcą i doradcą.

Jako jeden z wiceprezesów „Comité des Délégations Juives“ już pierwszem wystąpieniem zdobył sobie poważne stanowisko.

Żądaniu Marshalla o dopuszczenie do wspólnego stołu obrad panów z „Alliance“ przeciwstawił pytanie: czy odpowiada godności i — celowości, by reprezentanci miljonów dusz przy jednym stole zasiedli obok reprezentantów miljonów — banknotów? Niemniej, gdy „polityka ugodowa“ wzięła górę, był jednym z głównych mowców Komitetu i silne zrobił wrażenie swem — po hebrajsku wygłoszonem — uzasadnieniem narodowych postulatów Żydów. Tak samo w komisji programowej ścierał się z „Amerykanami“ o zasadnicze punkty naszych żądań, jak m. in. o dopuszczenie narodu żydowskiego do udziału w „Lidze Narodów“. Poza Komitetem zaś pertraktował pod wodzą Sokołowa wespół z Braudem i Lewitą z delegacją Rzeczpospolitej Polskiej o ugodę polsko-żydowską i zapędzał w kąt jurystów — ścisłością, prawniczą, z jaką rewindykacje żydostwa polskiego ubierał w szaty skodyfikowanych artykułów, przedkładanych następnie czynnikom polskim.

Niestety — nie z winy delegatów żydowskich nić rokowań się urwała.

Tak tedy na pracy par excellence politycznej, a i publicystycznej, spędził czas pobytu swego w stolicy świata, którą zwiedził po raz pierwszy. Nic poza tem go nie pociągało. Teatry chyba tylko poważne: „Comédie française“, ewentualnie Sarah Bernhard. Lekkość życia i swoboda używania, stanowiące największą ponętę Paryża, działają często wręcz odstręczająco na ludzi myśli. Tembardziej w naszym wypadku. Ścisłości i rzeczowości berlińskiej nie mogła odpowiadać owa „sztuczność“ i „barwność“, jakiemi olśniewają zazwyczaj piękności paryskie. I z zaciekawieniem słuchałem raz „dysputy“ naszego rabina z swoim przyjacielem i kolegą w zawodzie. Ten ostatni kruszył kopie w obronie Paryża i paryskiego — szyku, a nasz miły Thon — przejęty zresztą tryumfem koalicji — zachwycał się jednakże — „estetyką“ Berlina.

W Krakowie działając jako rabin i kaznodzieja, Thon kazalnicę uważał od pierwszej chwili za domenę wychowawczą. W czasie, gdy w Galicji słudzy Jehowy — pomijając nader drobne wyjątki — w występach oficjalnych tańczyli wedle batuty — prezesa kahału, Thon w własnym światopoglądzie szukał swego — dyrygenta. I gdy rabini w krajach dawnej Austrji i Niemiec, stosując do polityki hasło: „noli me tangere!“ głosili „misję“ żydostwa, w Polsce zaś „w imię Wiekuistego“ z namaszczeniem świątecznem nawoływali do — samozatraty, Thon z hardością,

graniczącą o upór i krasomówstwem, budzącem podziw, treść swych kazań opierał przeważnie o granitowe podstawy idei syonistycznej. Aż syonistyczną wychował sobie gminę. Toteż owe tysiące głosów, którymi przy wyborach sejmowych pokonał „niezawisłych“ i wszystkich uniezależniających się od żydostwa: to trofea, które odbił na wrogach własnym animuszem bojowym, odwagą cywilną i zdolnością organizacyjną.

Głosząc jednak zawsze jedność w żydostwie, jako kandydat na posła wprowadzał — co prawda mimowoli — rozdwojenie w łono rodzin żydowskich. Boć jeśli nie zdołał pozyskać dla siebie wszystkich ortodoksów, a miał przeciw sobie asymilatorów, to jednak miał za sobą ich — żony. Rabin krakowski jest bowiem ulubieńcem naszych — Krakowianek. Sam wprawdzie ironizuje siebie na tym punkcie, twierdząc, iż „ma szczęście do kobiet — niżej lat 16 i wyżej 60“. Ale w tym jedynym wypadku znamionuje Dra Thona — skromność. W rzeczywistości między rokiem 16 a 60 jest obszerna przestrzeń, a na tej przestrzeni umiał szanowny duszpasterz wszczepiać w — niezepsute kompromisem życiowym — serca kobiece ziarno miłości dla wzniosłej idei, a sympatję i cześć dla idei tej — propagatora.

Wszyscy i wszystkie czytają też z zapałem jego piękne mowy sejmowe, które niektórym towarzyszom w Polsce wydają się czasami zanadto polskie, ale zato Polakom zawsze jeszcze wydają się zanadto — „nacjonalistyczne“.

Ci ostatni posądzają go o szowinizm żydowski, jako że jest wybrańcem syonistów. W istocie zaś niema żywszego dowodu niezrozumienia rzeczy po stronie Polaków i cięższej krzywdy nad tę, jaką w ten sposób Thonowi się wyrządza.

Albowiem Ozjasz Thon jest wprawdzie przesiąknięty kulturą hebrajską, ale z wszystkich walorów duchowych narodów obcych za jeden z najwspalnialszych uważa kulturę polską. Koroną jego ideałów wszechżydowskich jest wolna Judea, ale szczytem jego myśli politycznej w kraju jest — Wielka Polska. I tak dalece utarło się to nawet w szeregach jego partyjnych zwolenników, że dziwią się, skoro któraś mowa jego na temat Polski nie kończy się zwrotem: „od morza do morza“.

M. M. USYSZKIN

Jakby z jednego ulany kruszcu. Mocny, konsekwentny i nieugięty. Mąż woli i czynu. A wygląd zewnętrzny odpowiada charakterowi. Postać silna, barczysta, płomienne oko. Twarz okolona czarnym, dziś już w wielu miejscach szpakowatym zarostem.

I zawód inżyniera-technika, zatem człowieka realizmu, idzie w parze z duchową predyspozycją. W rzeczywistości jednak od lat wielu zawodu prawie że nie wykonuje, zadowalając się technicznem zastępstwem paru większych instytucyj. Istotne jego codzienne i regularne zajęcie: to — syonizm.

I na pierwszy rzut oka zaprawdę niktby nie odgadł, że ten realista życia — to jeden z największych fanatyków idei. Od samego zarania stoi w centrum ruchu i kroczy na czele partji. Przez szereg lat jeszcze przed wystąpieniem Herzla kierował organizacją chowewesyońską, mającą swoją siedzibę w Odesie, a propagującą powolną infiltrację i kolonizację Palestyny. Herzlowi stał się odrazu jednym z współpracowników najpoważniejszych i — najgroźniejszych.

Najpoważniejszych, gdyż zdanie jego z powodu gorącego umiłowania sprawy i niezwykłej znajomości stosunków partyjnych, tudzież opartego na autopsji znawstwa Palestyny, musiało stale zaważyć na szali.

Najgroźniejszych, gdyż jakby żóraw czujny stał on zawsze na straży czystości idei i był niejako synonimem partyjnego sumienia.

Koncepcyi „politycznej“ Herzla: płacić szekle i czekać, przeciwstawił koncepcyę „praktyczną“: imigrować — choćby ukradkiem i kolonizować. A kiedy na wierzch planów partyjnych wypłynął projekt Ugandy, Usyszkin wzniecił taką żagiew niezadowolenia, że na konferencyi syonistów rosyjskich w Charkowie wybuchły już jawne płomienie buntu. Za inicjatywą jego

wysłano Herzlowi ultimatum: wycofania z porządku dziennego Ugandy, albo wycofania się z ruchu. Tragizm losu żydostwa położył kres walce. Kosa śmierci podcięła pasmo krótkiego żywota wielkiego wodza.

Epilog ostateczny rozegrał się na kongresie w Bazylei, gdzie buławę „dyplomatyczną“ — w braku zgasłego przedwcześnie Herzla — dzierżył Zangwill, a z drugiej strony Usyszkin skinieniem głowy nastrajał i wzrokiem jakby hypnotyzował „palestynowiernych“.

Niezapomnianą z owych czasów jest postawa tego dyktatora syonizmu, jak stał wyniośle z rozkrzyżowanemi ramiony i spoglądał prosto w oczy przeciwnikom, z miną nienawistną rzucającym przeciw niemu pociski: „Herzl-Mörder!“ Znosił te zarzuty w przeświadczeniu, że gdy zarzucają mu, iż duszę skalał wrogością wobec Herzla, on utrzymywał tylko niepokalany sztandar idei.

Wszczęły się rządy Wolffsohna i znowu Usyszkin rozpętał burzę niezadowolenia przeciw prezesowi stronnictwa. Nieudolność w organizowaniu sił opozycyjnych sprawiła, że w Hamburgu formalna wygrana Usyszkina była dlań porażką. Obalono prezesa, lecz nie było kandydata na następcę i uprosić musiano Wolffsohna, by zatrzymał krzesło kurulne. Błąd naprawiony został na kongresie wiedeńskim, gdzie utworzono — bez Wolffsohna — septemwirat, jako Ścisły Komitet Wykonawczy. I znowu niezapomnianą jest scena wzruszająca, jak u schyłku kongresu Usyszkin, jakby dla zamanifestowania, iż w turnieju rozegranym walczyły z sobą nie osoby lecz zasady, padł w objęcia tego, któremu dopiero co ster wytrącił był z ręki i obaj w serdecznym, bratnim złączyli się uścisku.

Gościniec dla nowego kierownictwa syonistycznego był wygładzony, a od tej chwili dla Usyszkina — urywa się droga. Do robienia opozycji nie ma on więcej okazji, a do sprawowania rządów zamało jest — popularny. Bo popularnością raczej cieszy się kto inny z pośród syonistów rosyjskich, jedyny jego współpracownik i — rywal, którego Usyszkin nie mógł pokonać. Walce bowiem na zewnątrz, jaką prowadził kolejno z Herzlem, Zangwillem, Wolffsohnem, towarzyszyła zawsze walka w łonie organizacji rosyjskiej między nim a zmarłym niestety z końcem wojny Jechilem Tschlenowem. W tej walce uległ Usyszkin.

Te same przymioty, które wyniosły go jako hetmana bojowego: brutalność wobec przeciwnika, bezwzględność w ataku i nieustępliwość w żądaniach, dyskwalifikują go jako sternika partji. Zarówno jak on, tak samo i Tschlenow zagorzałym był ideowcem i świetnym znawcą stosunków i kraju palestyńskiego, lecz w przeciwieństwie do niego był przystępny dla poglądów innych, i na świat a i na przeciwników patrzał przez pryzmat rozumienia i przebaczania.

Toteż, gdy kongres wiedeński roku 1913 uchwalił nowy gabinet syonistyczny, Tschlenowa zobowiązano formalnie do przeniesienia się z Moskwy do Berlina. Usyszkin pozostał w Odesie. Tu nie mogąc więcej wyżyć się „po swojemu", nie mając okazji zużytkowania wpływów partyjnych, czuł się jakby nie „w swoim żywiole" i w tym nastroju, spotęgowanym wybuchem wojny, postarzał się w znacznej mierze także i — moralnie.

Ten lew rozjuszony, jakim znaliśmy go dawniej, dziś czyni raczej wrażenie lwa — poskromionego. Gdy z dawnej maksymy germańskiej: „biegen oder brechen" ongiś uznawał tylko część drugą, obecnie decyduje się niejednokrotnie i na metodę pierwszą, a godzenie zasadniczych sprzeczności, niegdyś w oczach jego szczyt herezji, zyskuje też czasem już jego aprobatę.

Tak w „Comité des Délégations Juives", którego był jednym z wiceprezesów, przemawiał wprawdzie ostro przeciw łączeniu się z „Alliancem" i „Jointem", ale wybrany do wspólnej komisji, przyjąć chciał platformę wedle minimalistycznego programu żądań i doprowadził do tego, że inni delegaci krajów wschodnich musieli jemu, zawodowemu szermierzowi, udzielać lekcji — ostrzenia mieczy.

Niemniej wpływ jego na tok spraw Komitetu był olbrzymi, a i radykalizm jego — mimo wszystko — często jeszcze wyszczerzał zęby.

Po zaistnieniu Komitetu paryskiego przeciągano przez przeszło tydzień rozmyślnie, jakby za milczącem porozumieniem, obrady w wyczekiwaniu przyjazdu Usyszkina z konferencji londyńskiej. Na pierwszem też posiedzeniu, w którem uczestniczył, wniósł życie i system w porządek i bieg posiedzeń. Prowadzone dotychczas wedle wymogów chwili i przypadku, odbywały się odtąd stosownie do wniosku Usyszkina w myśl wytkniętego z góry planu i ustalonych dążeń.

Zasiadał w Komitecie, jako wysłannik pierwszego żydowskiego Zgromadzenia Narodowego na Ukrainie, którego był prezesem. Gdy na porządek dzienny weszła kwestja konferencji światowej żydowskiej, Usyszkin przypomniał, że postulat ten jest jedną z dyrektyw, udzielonych mu przez Zgromadzenie Narodowe i przemawiał — przeciw. Bo wola i własny sąd jego wydawały mu się w danej chwili, ze względu na istniejące warunki, ważniejsze niźli — imperatywny mandat.

Kiedy Marshall ubiegał się o berło prezydjalne, popierany wpływami odjeżdżającego Macka, Usyszkin — prawie sam jeden — otwarcie stawiał wnioski, paraliżujące szanse Marshalla, a to głównie z powodu jego poglądów antisyonistycznych. A w co wierzy, to wykonuje bez obsłonek, a nawet, jak mu zarzucają, bez — „taktu". Gdy delegacja amerykańsko-żydowska w Paryżu na pierwsze wieczory święta Pesach zaprosiła prócz członków armji amerykańskiej, także członków naszego Komitetu do specjalnie w tym celu wynajętej i świątecznie przystrojonej sali, Usyszkin po pierwszej uroczystości sederowej kruszył kopie przeciw „Amerykanom" i w obronie koszerno-pesachowej „restauracji Dardyka", którą obrał dla nas wszystkich na drugi wieczór sederowy i to bez usprawiedliwienia się u gospodarzy amerykańskich. Raził go bowiem brak tradycji starożydowskiej przy „sederze" amerykańskim, a na ten „brak tradycji" odpowiedzieć pragnął brakiem — taktu. Za to czuliśmy wszyscy doń żal, a — nawiasem mówiąc — przekonał nas dopiero o celowości tego wystąpienia nie Usyszkin swą argumentacją, lecz — Dardyk swą „smażoną macą" i „knedlami", w istocie o wiele bardziej — „pesachowymi", aniżeli „beztradycyjne" smakołyki gastronomii nowojorskiej.

Bezpośrednio wobec Konferencji pokojowej wystąpił Usyszkin raz jeden, gdy wraz z Weizmannem i Sokołowem przedkładał memorjał w sprawie Palestyny.

Przemawia krótko, sucho i urywanie, wyraża jasno każdą myśl i akcentuje silnie każde słowo. A radykalizm objawia także i w dziedzinie językowej. Jak z pośród terytorjów świata uznaje tylko Palestynę i — zagranicę, tak uznaje tylko język hebrajski i języki — obce. Przed Radą Dziesięciu również przemawiał w języku — własnym. I w życiu prywatnem przedewszystkiem mówi po hebrajsku, a złośliwi dowcipkują, że Usyszkin w pierw-

szej erze syonizmu głodził się przez dni szereg, aż oswoił się z faktem, iż z służącą musi porozumiewać się inaczej jak w języku — „swojskim“.

Fizycznie silny i wytrwały, dyskutować potrafi dniami i nocami, bez wytchnienia i wypoczynku. Pozatem ma czas swój podzielony na minuty, a punktualnym i skrupulatnym — niektórzy nazywają go „zwarjowanym“ — jest też dlatego i w życiu prywatnem. Rendez-vous wyznacza zawsze, jakby wedle wskazówki sekundowej. Tak, mając mi raz wręczyć pewne ważne dokumenty, zaprosił mnie do siebie na następny dzień rano na godzinę „6 minut przed dziesiątą“, gdyż, jak mi tłumaczył, to w 10 minut przed 10, jeszcze nie zdoła mnie przyjąć, a w 4 minuty przed 10 już go nie będzie.

Temi wszystkiemi zaletami i wadami Usyszkin przypomina całkowicie rewolucjonistów francuskich z doby Wielkiej Rewolucji. Robespierre te cechy wewnętrzne, jakie znamionować winny reprezentanta ludu, określał mianem „vertu“ — co oznacza zarówno „cnotliwość“, jak „męstwo“ i „odwagę cywilną“. Tę „vertu“ posiada Usyszkin w całej pełni i dla tej właśnie „vertu“ jest on, taksamo jak owi politycy wielki ejery, przez wielu znienawidzony, rzadko kiedy — lubiany.

Od szeregu miesięcy bawi ten mąż „żelaznej ręki“ w Palestynie“, dokąd został wydelegowany przez organizację syonistyczną w porozumeniu z rządem angielskim, jako zastępca prezesa — prezesem formalnym jest Weizmann — i faktyczny kierownik komisji palestyńskiej, a dokąd wyjechał jednak w pierwszym rzędzie z własnej woli, by „spełnić cel swoich marzeń“ i w Ojczyźnie — zamieszkać, Nigdy chyba nie malowała się radość tak żywo na jego surowem i ponurem licu, jak w chwili, gdy z drukarni odebrał i pokazywał nam hebrajskie wizytówki z napisem: „Usyszkin — Jerozolima“.

W Paryżu, gdzie w Komitecie Wykonawczym organizacji syonistycznej pełnił fnnkcje referenta palestyńskiego, oświadczył się w pierwszej chwili za ograniczeniem imigracji i segregowaniem emigrantów i chciał zamknąć bramy kraju ojczystego przed tymi, co nie dają rękojmi zdrowia fizycznego i moralnego. Powtórzył to był raz na zebraniu obszerniejszem i ściągnął na się grad zarzutów i ataków ostrych.

O ile donoszą pisma palestyńskie, dogmatyk partyjny, wpatrując się sam na miejscu w słońce wolności narodowej, nie chce więcej zasłaniać innym promieni słońca i ponoś wał zastrzeżeń jego kruszy się pod naporem fali emigracyjnej.

Zresztą pracuje tam z zwyczajną gorliwością i sumiennością, bacząc jedynie i wyłącznie na dobro sprawy. Dowodem tego fakt, iż w krótkim czasie działalności zdołał już wszystkich sobie — zrazić: Ortodoksów i robotników, „jidischystów“ i amerykańską „Hadassę“, podrzędne lokalne władze i — Weizmanna.

Niemniej, a może właśnie dlatego, autorytet jego jest bardzo duży i wpływ na bieg spraw wywiera niezrównany. Prawda jego innym jest częstokroć niemiła, ale wszyskim każe go podziwiać; energia jego innych osłabia, i każe im się ugiąć.

Toteż autorytet i znaczenie jego ważą zawsze przy kształtowaniu się losów i rządów stronnictwa. Cokolwiek zaś — po zejściu jego z areny politycznej — powie o nim historja syonizmu i jakkolwiek oceni ona znaczenie jego działalności. już dziś niezaprzeczalną jest Usyszkina zasługa jedna. Zasługa, którą u Lassalle'a tak bardzo wielbili robotnicy niemieccy, gdy nad mogiłą jego nucili pieśń:

„In Breslau ein Friedhof,
Am Friedhof ein Grab,
Hier ruht Derjenige,
Der Schwerter uns gab.“

Prof. Dr. CHAIM WEIZMANN

6

Postać smukła i wysokiego wzrostu, o długich nogach, chodzie zwinnym i elastycznym. Owalna głowa zaokrąglona pokaźną łysiną, twarz o ostrych rysach, zakończona czarną śpiczastą bródką.

Znajoma dama w Paryżu określiła raz jego extérieur jednem słowem: „Mefisto“. Ale jak Mefista przypomina z wyglądu, tak Aniołem-stróżem jest w rzeczywistości. Aniołem-stróżem, czuwającym nad dolą i przyszłością narodu żydowskiego.

Wśród osławionych błot Pińska wychował się i wyrósł, a wśród kół rządowych Wielkiej Brytanii ugruntował swoją pozycję. Z brudnego miasteczka litewskiego wyruszył w świat po złote runo — szczęścia Izraela, zarzucił kotwicę — szukając za śladami tego runa — nad Tamizą, a wylądował — w Palestynie. Rozpoczął od karjery docenta uniwersytetu, a skończył na misji apostoła narodu. W organizacji syonistycznej przez lat szereg augurem był opozycji, dziś jako „homo regius“ buławę hetmańską w silnej dzierży dłoni.

Jako opozycjonistę pamiętamy go jeszcze z czasów Herzla, kiedy w Szwajcarji założył z Marcinem Buberem i Bertoldem Feiwlem „frakcję demokratyczną“, mającą na celu ożywienie ruchu „szeklowego“ bujną strugą kultury hebrajskiej i zdemokratyzowanie organizacji, która utknęła na mieliźnie dyplomacji. Nie przewidywał wówczas młody docent berneński, a teoretyczny wróg dyplomacji, że wypadnie mu po dwóch dziesiątkach lat być samemu mistrzem ceremonji dyplomatycznej w świecie polityki żydowskiej. Ale bo też Weizmann swą dzisiejszą dyplomację oparł na pierwiastkach zupełnie niedyplomatycznych, uznając — w zarysach przynajmniej — jawność jako najlepszą gwarancję powodzenia — tajemnicy dyplomatycznej, a opinię publiczną jako najniezawodniejszego świadka zapewnień gabinetowych.

„Frakcja demokratyczna“ była raczej pobudką do lotu, niźli lotem, raczej próbą niż czynem. Rozpadła się sama w sobie z chwilą, gdy czynniki kultury żłobić poczęły drogi dla rozwoju idei, a wpływy demokratyzmu przenikały zasady stronnictwa.

Okres opozycji przeszedł następnie Weizmann za rządów Wolffsohna, któremu jako wierny trabant Usyszkina i druh Tschlenowa zarzucał biurokratyczność i skostnienie ruchu, tudzież brak porywów i szerszych poglądów. To stanowisko Weizmanna wybijało się zwłaszcza na wierzch na arenie kongresowej, gdzie miał zdawna jakby zapewnioną sobie rolę pierwszorzędną.

Kongres światowy syonistyczny — jak zresztą każda tego rodzaju manifestacja — składa się z dwóch części. Jedna, przeznaczona na widowisko i pokrzepienie serc delegatów, celuje ślicznymi referatami, a kończy się liczeniem głosów i wyborami, wywołuje zachwyt uczestników, oklaski galerji i na zewnątrz daje świadectwo o świetności kongresu. Część druga to ta, która pracuje — za kulisami. Przygotowuje wyniki głosowania i aranżuje wybory, suwa, usuwa i — wysuwa ludzi i w istocie jest — kongresem. Przewodniczącym tego „kongresu — na kongresie“, zwącego się komisją permanencyjną, był od lat Weizmann. Zatem ściślej mówiąc: prezesem kongresu był Nordau, czy Wolffsohn, właściwym kierownikiem Weizmann. A pełnił tę funkcję z nadzwyczajną sprężystością. Ilekroć chmury wzajemnych starć zaciemniały horyzont kongresu, Weizmann natychmiast zwoływał „wybranych z pośród wybranych“ i rozwiązywał węzeł gordyjski ku możliwie ogólnemu zadowoleniu i z niezwykłym kunsztem — dyplomatycznym.

Jest czynny za kulisami, ale cząstka jego osobistości udziela się także — galerji. Bo zarówno jak przewodnictwo „permanencyjne“, taksamo miał Weizmann niby tradycją przydzieloną sobie na kongresach rolę drugą: generalnego mowcy opozycyjnego w debacie generalnej.

Przemawia świeżo, żywo, z temperamentem. Jest gwałtowny w ataku, sarkastyczny w zwalczaniu, nienasycony w żądaniu.

Ironiczna jego uwaga pod adresem Wolffsohna, żądającego pozostawienia siedziby Ścisłego Komitetu Wykonawczego w Kolonii, (nie będącej ani politycznem ani żydowskiem centrum), iż „bezcelową jest walka przeciw — geografii“ uzyskała prawo oby-

watelstwa w słowniku t. zw. bons mots partyjnych, które powtarzano z ust do ust.

Posiada umiejętność wkładania dużej dozy romantyki w sprawy o treści nawskróś realnej. Zwalczając w mowie generalnej w Hamburgu „giełdziarsko-praktyczne metody“ Wolffsohna i reagując na fakt wymienienia przezeń swoich własnych zasług, wspomina o zasługach innego rodzaju i innych mężów. „Proszę pójść — wywodził — na cmentarz w Chederze i tam spojrzeć na groby robotników żydowskich, którzy nigdy nie wygłaszali mów na kongresach, a którzy zdobyli zarówno nieśmiertelne zasługi, jak niejeden wielki prowodyr. To są niemi bohaterowie, o których nikt nie pisze, a o których nawet ani słowa nie zapisze stenograficzny protokół kongresu“.

Że zaś zdania w ten sposób wygłaszane, odznaczają się krótkimi jakby urywanymi zwrotami, dobitnym, ostrym akcentem, wewnętrznem ciepłem i tonem nawpół elegijnym, graniczącym o prorocze mentorstwo, nie dziw, że mowca Weizmann słuchaczy chwyta za serca. Rzadko roznamiętni, rzadziej matematycznie przekona, ale stale zainteresuje, często porwie, a zawsze uniesie — ku szczytom.

W swoich mowach okazuje w całej pełni zdolności i wpływ trybuna. Ale ledwie uciszyły się oklaski, żegnające Weizmanna-oratora, a już ponownie występuje Weizmann-reżyser. Nie upaja się wawrzynem, lecz dalsze odbywa konferencje, by plany doprowadzić do realizacji. Wszystko przewiduje, a niczego nie przeoczy.

Bywały chwile, kiedy wszyscy tracili głowy, on jeden trzymał jeszcze głowę, wzniesioną do góry, głowę — dyplomaty.

Raz tylko stracił równowagę wraz z innymi, stojącymi w hufcu opozycyjnym. Było to również na kongresie w Hamburgu. Opozycja rosyjska przygotowała była wszystko dla obalenia Wolffsohna, lecz nie przygotowała — następcy. Pod koniec kongresu wrzenie dosięgło punktu kulminacyjnego. Atmosfera przesycona elektrycznością. Po nużących dyskusjach i głosowaniach przyjęto nareszcie w znacznej mierze — też za osobistą interwencją Wolffsohna — wniosek komisji permanencyjnej, iż prezydent stronnictwa wybierany ma być z łona Ścisłego Komitetu Wykonawczego, nie zaś — jak dotychczas — przez kongres. Skoro jednak później zaproponowano listę kandydatów, w której oczy-

wiście brakło nazwiska Wolffsohna, okazało się, iż zrobiono „rachunek bez gospodarza“. Kolejno wstali z swych miejsc i zgłaszali rezygnację z urzędu, którego „w podobnych warunkach przyjąć nie mogą“: Dr. Hantke, Dr. Sandler, wreszcie filar organizacji niemieckiej, profesor Warburg. Z takiemi niespodziankami Weizmann wpierw się nie liczył. Nie pozostawało nic innego, jak pójść do Kanossy. Wolffsohn dał się uprosić, by — jak oświadczył — „ponieść jeszcze tę ofiarę“ i wraz z całem kierownictwem w składzie dawnym dać się ponownie wybrać. Ale propozycji odnośnej w imieniu komisji permanencyjnej nie przedłożył już kongresowi jej przewodniczący, lecz — Dr. Bodenheimer.

Weizmann zrozumiał, że kampanię przegrał i że powinien usunąć się „za kulisy“, nie by paktować i dyrygować, lecz by — milczeć.

W „zaciszu“ pozostał tylko aż do końca kongresu. Potem zabrał się ponownie do dawnej pracy. Na kongres wiedeński przyjechał już zbrojny nietylko w argumenty krytyczne i projekty reform, ale i w — ludzi „ministerjalnych“.

Walka tym razem nie była zacięta. Wolffsohn sam oswoił się z myślą o zmierzchu swej władzy. Batuta Weizmanna funkcjonowała misternie. Komisja permanencyjna dyktowała skład rządu, a kongres głosował i wybierał, jak — „za panią matką“.

Odtąd Weizmann sam stępił ostrze swej szpady partyjnej. Popierał syonistyczny rząd, aż sam stać się miał — rządem.

Nadeszła chwila przełomowa w dziejach ludzkości. Chwila wybuchu wojny światowej, chwila rojeń uciśnionych klas i ludów o zbliżającem się wyzwoleniu, chwila zwiastowania wolnego jutra dla narodu żydowskiego.

Nad głową Chaima Weizmanna zatrzepotał geniusz żydostwa skrzydłem nieśmiertelności. Nieśmiertelności własnej osobistości, którą złączył z nieśmiertelnością narodu.

Erudycja fachowa profesora posłużyła tym razem idei polityka.

Żydostwo posiadało zawsze ludzi, którzy światoburczymi wynalazkami i odkryciami cywilizację na nowe pchnęli tory. Z dzieł tych geniuszy żydowskich korzystał świat; w cieniu zapomnienia pozostało jednak społeczeństwo, wśród którego geniuszy tych stała kolebka. Tym razem stało się inaczej.

Uczyniony został wynalazek, który służyć miał zwycięstwu idei ludzkości, ale pośrednio wyjść miał na szczęście parjasów ludzkości. Wynalazek niszczący i morderczy, ale w ostatecznym rezultacie sprowadzający swobodę i życie. W momencie, gdy łodzie podwodne zagrażały potędze morskiej i sukcesom wojennym W. Brytanii, nasz „chemik“ Weizmann wynalazł środek wybuchowy, rozsadzający łodzie podwodne lub conajmniej podważający ich bezpieczeństwo. Na skutek tego wynalazku, aprobowanego przez urzędowych ekspertów angielskich, wynalazca powołany został do ówczesnego ministra marynarki — Balfoura.

Oddając swój wynalazek do dyspozycji rządu, Weizmann znacznej części zapłaty zrzekł się na cele wojenne Anglii, a przedłożył tylko jedno żądanie: umożliwienia mu stałego pobytu w stolicy.

Żądaniu oczywiście stało się zadość. Weizmann, wykładający chemię na wszechnicy w Manchesterze, uzyskał katedrę na uniwersytecie londyńskim, a nadto miał sam doglądać sposobu wyrabiania i eksploatacji swego wynalazku.

Codzienna niemal styczność z Balfourem wynikała oczywiście z natury rzeczy. Marzenia Weizmanna o wolności Izraela znalazły obecnie pole działania.

Wobec Balfoura, a niebawem za jego pośrednictwem i wobec Lloyd George'a stał się nasz towarzysz żarliwym heroldem niewygasłych tęsknot narodu żydowskiego. Balfour portfel ministra marynatki zamienił wnet na tekę ministra spraw zagranicznych. Reszty dopełniła — Historja.

Zwyciężyła Anglja, wraz z nią w świecie naukowym myśl wynalazcy i — co ważniejsza — w świecie politycznym idea Weizmanna. Za dopomożenie Anglii do zwycięstwa, Weizmann obdarzony został jednym z najpiękniejszych tytułów naukowych. Z zacięciem ironicznem przywitał mię on raz uwagą, iż jest już obecnie nietylko kolegą w Komitecie Wykonawczym, lecz także — „kolegą w zawodzie“, gdyż uniwersytet w Manchesterze zamianował go doktorem praw honoris causa w uznaniu zasług poniesionych dla wzmocnienia politycznego bytu państwa.

Wszelako o wiele donioślejsze jest to, czem dzięki współpracy rządu angielskiego i Weizmanna obdarzone zostało żydostwo: uznanie narodowej samoistności w Ojczyźnie.

Zaabsorbowany całkowicie pracą palestyńską, Weizmann nie uczestniczył osobiście w pracach o prawa narodowe dla mas

żydowskich. Jedyne, co ma bezpośrednio wspólnego z „Comité des Délégations Juives", jest właściwie tylko — fotografia.

W odróżnieniu od Sokołowa, który w usiłowaniach o zdobycie praw mniejszości widział niby łuk tęczy, zabarwiającej swą jasnością przestrzeń z krajów dyaspory aż po Palestynę, Weizmann z rezerwą przyjmował początkowo działalność „Delegacyj żydowskich", uważając pozatem — nie bez słuszności — rozpraszanie sił za osłabianie — centrum.

A przecież nie był to przypadek czy konwencjonalizm, że uproszono wybitnego reprezentanta do złączenia się z nami w grupie, mającej w portrecie wspólnym uwiecznić bojowników żydostwa o poprawę bytu obywatelskiego i narodowego. Bo w chwilach właśnie najkrytyczniejszych, gdy mgły niechęci interesowanych rządów zakrywały czystość naszych dążeń i możliwość — wyjścia, gdy tak sprawa rumuńska zdawała się nie ruszać z martwego punktu, wtenczas Komitet zwracał się do Weizmanna, a on — znowu via Balfour i Lloyd George — rozjaśniał widnokrąg.

Z konferencyj swoich — zwłaszcza w sprawie Palestyny — zdawał zawsze sprawę na posiedzeniach Komitetu Wykonawczego w Paryżu.

Jak w obcowaniu prywatnem jest ostrożny i oszczędny w wynurzeniach partyjnych, jak — daleki zawsze od jałowego sceptycyzmu — wskazywać zwykł perspektywy, pozostawiając jednak zawsze wolną furtkę dla wytłumaczenia ewentualnego niepowodzenia i nie angażując się nigdy zbytnio w przyrzeczeniach, tak na odwrót otwarcie i szczerze wypowiada się wobec powołanego ku temu forum. Ale i tutaj nie — zbytnio. Zawsze pozostanie jeszcze rąbek tajemnicy, który Weizmann odkryje kiedyś li tylko — najzaufańszym. I ci dowiedzą się następnie, że poza „sanctuarium", do którego oni jedyni uzyskali wgląd, istnieje jeszcze „sanctissimum" dla jeszcze — zaufańszych, może tylko dla równego mu współpracownika Sokołowa. A bywało, iż znajdywały się w kieszeni jego dokumenty, o których istnieniu i treści wiedział tylko ten, który w gabinecie ministerjalnym je spisał i wręczył i ten, który — miał je przy sobie.

Bądźcobądź jest Weizmann „dyplomatą", który wie, czego chce i na pytanie: „quo vadis?", dać może zawsze sobie i innym dokładną odpowiedź.

Przy całem poszanowaniu demokratyzmu i usposobieniu demokratycznem umie jednak także terroryzować otoczenie, a nawet, skoro przewodniczy, — jak to miało raz miejsce w Paryżu, — zerwać obrady, nie idące po linii jego intencyj, gdyż — jak wołał — nie pozwoli „sabotować“ pracy. Nie można jednak takiego kroku uważać za rodzaj „liberum veto“, jeśli się uwzględni, że mąż ten całe swe „ja“ rzucił na szalę myśli, której poświęca pracę dnia i bezsenność nocy, splotem nerwów związał się z wyczarowanym przezeń sukcesem, sam jeden zna całokształt sprawy i ugina się pod brzemieniem odpowiedzialności.

W przedstawieniach swoich z stanu sprawy lub wypadków bieżących posiada zadziwiający dar okraszania rzeczy, a takie sprawozdanie pod kątem widzenia optymizmu nawet słuchaczy, niechętnych mu, lub niedowierzających sprawie, wprowadza w nastrój optymistyczny. Tem też tłumaczy się, że zastęp jego zwolenników osobistych wzrasta po każdej konferencji, że spuszczają tarczę i ci, którzy przed wysłuchaniem go mieli serce okryte pancerzem krytycyzmu. Tem tłumaczy się, że reprezentanci syonizmu w Niemczech, dawniej natchnieni opozycyjnie, dziś przysięgają na zbawienność deklaracji Balfoura, że i Nordau, ziejący do niedawna niezadowoleniem i goryczą, przez krótki czas był podporą obecnego „kursu“ i piewcą uzyskanych zdobyczy.

Tej zdolności obrazowania, właściwej Weizmannowi, przypisać należy też niewątpliwie w znacznej mierze owe rezultaty pozytywne, jakie udało mu się osiągnąć w dziedzinie chłodnej dyplomacji. Tak wymownie zapewne przedstawiał mocarzom Anglii świetlane posłannictwo, jakie spełnią wobec cywilizacji przez wyswobodzenie biblijnego narodu, że przed ideą tego posłannictwa ukorzyć się musiał flegmatyczny i rozważający syn Albionu.

Profesor najwyższej uczelni angielskiej ma już — jak słychać — przeznaczone dla siebie w dziedzinie naukowej stanowisko rektora uniwersytetu w Jerozolimie, pod którego budowę położył sam — dosłownie rzecz biorąc — pierwszy kamień węgielny. — Jakie zaś pod względem politycznym czeka go stanowisko w Ojczyźnie, pod której wyswobodzenie pierwszą realną położył podwalinę?

W czasach, gdy w nowopowstałych państwach, jak uczy przykład Czechosłowacji, profesorowie uniwersytetów wznoszą się się ku wyżynie — panujących, mimowoli nasuwają się analogie.

Ale czyż dzieje żydostwa, dzieje Palestyny i realizacji syonizmu, znoszą — analogie?

Na wszelki wypadek wiemy, iż dwie istnieją kategorje polityków i dyplomatów.

Są politycy przyrzeczeń i politycy czynów. Są dyplomaci, utrzymujący się u steru presją i budzeniem strachu, a inni, jaśniejący autorytetem i budzeniem nadziei.

Czynem wyzwoleńczym narodu uwieńczona została polityka Weizmanna. Nadzieję narodu zdołał napiąć do najwyższego stopnia, toż nie dziw, że i naród najwyższe nadzieje do jego przywiązuje osoby.

HILLEL ZLATOPOLSKI

Kapitały — „tarbut“ — banki — kultura — dywidendy — język hebrajski...

Oto koniki, na których stale jeździ nasz przyjaciel, oto bieguny, które z mistrzostwem, tłumaczącem się chyba dyalektyką heglowskiej tezy i antytezy, umie z sobą łączyć.

Postacią krępą, nie przekraczającą atoli miary burżuazyjnej solidności, krokiem poważnym, dalekim atoli od powolności, starannie przykrojonym tużurkiem i złotą parą okularów, wrażenie czyni pewnego siebie bankiera, czekającego chyba jeszcze na tytuł — komercjalnego radcy. Natomiast jasnością ducha odźwierciedlającą się w twarzy, okolonej blond zarostem, przypomina uczonego, wpatrzonego myślą w słońce wiedzy, a wzrokiem w „księgi mądrości“ najstarszego z narodów.

W rzeczywistości nie mylą się w opinii swej o Zlatopolskim ni jedni, ni drudzy.

Jest on jednym z najlepszych znawców w dziedzinie finansów i jednym z najwytworniejszych znawców — kultury hebrajskiej. Nie wiadomo tylko, co mu środkiem jest, a co celem, w szczególności, czy wedle ideologii jego kultura służką ma być wprzągniętą w rydwan kapitału, czy na odwrót fundusze ścielić jeno mają drogę misjom kulturalnym. Albowiem w działalności jego i wystąpieniach publicznych oba czynniki równomiernymi się cieszą względami. Ilekroć Zlatopolski mówić poczyna o bankach, wiadomo z góry, że skończy na języku hebrajskim, gdy zaś ktoś z znających go oddawna pod koniec referatu przybędzie i usłyszy wywody na temat dywidend, odgaduje odrazu, że początkiem mowy była kwestja — kultury.

Bo dla ważności, czy konieczności instytucyj gospodarczych szuka sprawdzianu w perspektywie osiągnięcia funduszów dla — renesansu kultury, zaś, oceniając wzloty kulturalne, czy naukowe

bada przedewszystkiem. czy wyposażone są, gwoli ziszczenia się, w dostateczne środki materjalne.

A i w życiu swem prywatnem Zlatopolski umiał zawsze oba te ogniwa w jeden wiązać łańcuch. W różnych miastach dawnej Rosji, począwszy od swego miasta rodzinnego Kijowa a skończywszy na Kaukazie, jest on z czasów przedwojennych jeszcze założycielem i współwłaścicielem szeregu domów bankowych i handlowych, w których stanowiska dyrektorów — dla ułatwienia im bytu materjalnego i pracy publicznej — ponadawał „mężom kultury", m. i. Usyszkinowi w Odessie. Z swoich własnych zaś dochodów wyznaczał i rozdzielał regularnie miljon rubli rocznie na cele „tarbutu".

Finanse i szkoły: to była jego siła, to była zarazem jego pięta achillesowa, gdzie najdotkliwiej ranić go było można. Dyktatura Lenina trafiła go w oba najczulsze miejsca. Bolszewicy są zarówno wrogami prywatnego majątku, jak i narodowej kultury. Nie dziw, że pewnego poranku Hillel Zlatopolski wraz z częścią swojej rodziny znalazł się w lochach kazamat więziennych, wydziedziczony na rzecz państwa z wszystkich „dóbr doczesnych", a łącznie z tem „tarbut", dzieło życia jego, został rozwiązany i opieczętowany, jako niebezpieczny dla „rządów p oletarjatu". Na szczęście przedsiębiorczość „wroga ludu" zbyt wiele stworzyła dla siebie szańców obronnych, by za jednym szturmem rozpaść się miała jego pozycja materjalna, a i sieć założonych przezeń instytucyj kulturalnych i szkół zbyt daleko była rozgałęzioną, by je wszystkie trafić mógł dekret rad sowieckich.

Ostała się przed naporem bolszewizmu część jego majątku, ostała się również część szkół hebrajskich. A później wypróbowaną już metodą, niezawodzącą także pod berłem „proletarjackiej sprawiedliwości", Zlatopolski, wypuszczony z więzienia, zdołał umknąć za granicę, wydelegowany jako reprezentant gmin żydowskich Ukrainy do „Comité des Délégations Juives" w Paryżu.

Z chwilą przybycia Zlatopolskiego do stolicy Francji praca „Komitetu Delegacyj Żydowskich" kotłowała już na dobre, pourparlers naszych reprezentantów z miarodajnemi osobistościami kongresu pokojowego były w pełnym toku, a memorjały były prawie na ukończeniu. Niemniej nowy delegat zapoznawszy się z materjałem, rzucił się odrazu w wir pracy, żar swej miłości i zrozumienie rzeczy poświęcając oczywiście żądaniu mniejszości

narodowych odnośnie do szkół i języka. Równocześnie atoli i w organizacji syonistycznej wystąpił — w porozumieniu z swoim „alter ergo“ Najditschem — z dalekonośnym planem stworzenia banku z kapitałem zakładowym 200 miljonów franków. Miała instytucja ta, określona przez jej propagatora mianem „Rotszylda narodu żydowskiego“, popierać przedsiębiorstwa przemysłowe w Palestynie, finansować likwidacje przedsiębiorstw w krajach dyaspory, a część zysków łożyć — rzecz naturalna — na cele kulturalne.

Jakkolwiek instytut opierać się miał na zasadach wyłącznie kupieckich i warować niezależność formalną od stronnictw politycznych, jakkolwiek inicjator myśli miał już zebranych około 80 miljonów franków, ostateczną realizację czynił przecież zależną od placet Komitetu Wykonawczego organizacji syonistycznej. Skutkiem tego program ten trzymał przez pewien czas w napięciu umysły najmiarodajniejszych wodzów partyjnych, znajdujących się podówczas w metropoli świata. Z zaciętą opozycją przeciw projektowi wystąpił odłam skrajno-demokratyczny pod wodzą poale-syonisty Syrkina z motywów, ukrytych w rynsztunku ideowym tego obozu, wszelako w dziwnym sojuszu z amerykańskimi członkami Komitetu Wykonawczego pod przewodnictwem Frankfurtera, którzy ostrze swej krytyki tłumaczyli koncepcją Brandeisa, jako poplecznika — kooperatyw.

Losy miljonowego „porywu“ Zlatopolskiego były temsamem przesądzone. Aż do chwili rozstrzygnięcia rozwijał wprawdzie nadal szczegóły, zbierał subskrypcje i zarówno zwolenników, jak przeciwników, zapraszał do siebie na „déjenuer“ lub five — o'clock tea“: jednych, by ich podtrzymać na duchu, drugich, by ich przekonać i — nawrócić. Ale gdy Komitet Wykonawczy ledwie 2 głosami większości zaaprobował jego wniosek, Zlatopolski ze swego „zwycięstwa pyrrhusowego“ nie skorzystał. Zaniechał dalszej agitacji, gigantyczny rzut finansowy skurczył do — niewykonanej zresztą — propozycji rozszerzenia Banku Kolonialnego, cały natomiast zapał duszy skierował znowu w stronę kulturalną, wygłaszając przy rozmaitych okazjach mowy, złożone z „szlagierów“ artykułów dziennikarskich, a zakończone zazwyczaj ku zadowoleniu P. T. Publiczności zarówno efektownym jak banalnym zwrotem: „Am echad, erec achat, sfat achat“ (Jeden naród, jeden kraj, jeden język).

Mimo to, a może właśnie dlatego, należy on do mowców dobrych, acz oczywiście nieprzekraczających granic przeciętności. Ma organ żywy i dźwięczny, mówi z rutyną omal że demagoga, i z temperamentem najzawziętszego radykała. Radykalnie zaś nietylko przemawia, lecz często także głosuje. Pieszczony w życiu przez plutokrację, ma widocznie ambicje być lubianym przez — demokrację.

Gdy w Londynie kwestja unarodowienia ziemi w Palestynie zawładnęła konferencją i elektryzowała serca i myśli, nasz „król finansów", tak samo zresztą jak Najditsch, tak stanowczo krzyknął „za", że niewtajemniczony, którzyby przypadkiem był zabłądził do sali posiedzeń, byłby snadnie „nacjonalizację" uważał za postulat żydowskiego — kapitalizmu, gdyby go nie był z błędu wyprowadził swem basowem „contra" — lord Rotszyld.

Kiedy wieść radosna z San Remo opromieniła blaskiem siedziby narodowej w Palestynie ponurą kartę teraźniejszości żydostwa, a dla realizacji syonizmu pytanie hamletowskie; być albo nie być? — streściło się w wysokości zebrać się mających sum, Zlatopolski z natury rzeczy zdawał się być powołany na chorążego „kampanii finansowej". W ślad za swoim „bratem siamskim" Najditschem wydaje broszurkę popularną, zatytułowaną: „Organizacja sił ludu żydowskiego", której część pierwsza rzuca snop światła na mglistość kombinacyj pieniężnych, a druga — jakżeby też inaczej być mogło! — entuzjazmuje się rozkwitem wskrzeszonej — nakładem części oczekiwanego majątku narodowego — kultury hebrajskiej w Palestynie.

Powstaje „Keren Hajessod", a tu oczywiście dla dotychczasowego teoretyka finansów otwiera się możność spróbowania skrzydeł w atmosferze spraw praktycznych. I oto w charakterze dyrektora ma wybrać się — w czasie najbliższym — w gronie swych współpracowników do kraju najbardziej praktycznych „businessmenów". Będzie przemawiał w Ameryce o „funduszu podstawowym", czy „funduszu wyzwolenia" i wykazywać będzie, jak nieodzowną jest w chwili obecnej ofiarność pieniężna i jak dominujące dla renesansu Ojczyzny są kapitały.

A skoro wspomina „kapitały", to dalszy ciąg i koniec mowy znamy już również: Kapitały — tarbut — banki — kultura — dywidendy — język hebrajski...